KAMENA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

dbl syn
6361/II sz
31

LUBLIN
CHEŁM
ROK VII

NR 4–5

12780

ROK VII **KAMENA** NR 4—5 (64—65)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

LUTY — MARZEC 1946 R.

TREŚĆ NUMERU CZWARTEGO — PIĄTEGO

TADEUSZ BOCHEŃSKI	Refleksje	str.	75
MARIAN PIECHAL	Nocna inwokacja	„	76
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK	Kołysanka uzbecka . . .	„	77
GRZEGORZ TIMOFIEJEW	Miłość	„	77
ALEKS. BAUMGARDTEN	Smak dnia owego . . .	„	78
PAWEŁ HERTZ	***	„	79
KAZ. ANDRZEJ JAWORSKI	Drzewom serdecznym . .	„	79
MARIA SZCZEPAŃSKA	Staszczykowie	„	80
ROMAN BRATNY	Ślad	„	86
JANINA IZDEBSKA	Drwale	„	87
JOANNA ŻWIRSKA	Słoma	„	88
JAN MARIA GISGES	Egzekucja	„	88
W. L. BRUDZIŃSKI	***	„	89
JÓZEFA RADZYMIŃSKA	Opłatek krwi	„	90
ERNEST PETRAJTIS	Po wojnie	„	91
KAZ. ANDRZEJ JAWORSKI	Przegląd poezyj . . .	„	91
JADWIGA RADLIŃSKA	Niebo bez gwiazd . . .	„	95
JADWIGA KORCZAKOWSKA	Bezimienny	„	97
	Fonetyka nocy	„	97
JAN REYCHMAN	Słowacki poeta wolności i sprawiedliwości.	„	99
	Przekłady z poezji czeskiej	„	101
	Przekłady z poezji słowackiej . . .	„	105
	Kronika słowiańska	„	109
	Noty	„	110

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub., Reformacka 43.
Przyjmuje w poniedziałki od 17 do 18-ej.

Wydawnictwo: Zespół „Kameny".

Sekretarz Redakcji: Lublin, ul. Curie-Skłodowskiej 2, pok. 34.

Prenumeratę przyjmuje Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik"
Deleg. Lublin, ul. 3 Maja 4.

Redakcja i Sekretariat w lipcu i sierpniu nieczynne.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 20 zł.

Nr. 2552.

KAMENA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

Rok VII **luty — marzec 1946 r.** **Nr 4-5 (64-65)**

REFLEKSJE

(z „Kropel humanizmu")

1. **Horror novi.** Jak gdyby świat nie musiał się odmieniać, jak gdyby każda nowość była zbrodnią. Wyzbyć się neofobii: warunek postępu radosnego, warunek świadomej i ochoczej współpracy z naturą istnienia.

2. Nawyki estetyczne: opór pięknu nowemu. Większość czyta właśnie nawykami. Zamiast czytać głodem nieprzewidzianych formotreści. Zamiast — wiarą, nadzieją i miłością.

3. Nie powtarzać świata, ale przetwarzać go w drugą, swoistą rzeczywistość. W innobyt. Czy i samobyt?

4. Liryka nie polega na „wypowiadaniu siebie", tym bardziej zaś na „mówieniu o sobie". Tak samo architektura. Nie jest ustawianiem cegieł.

5. Istnieją dwie poezje. Jedna tworzy ze zjawisk zjawisko nowe, druga — ze zjawisk — symbol tego, co przed zjawiskami, pod zjawiskami i w zjawiskach bezwzględne, metafizyczne, boskie. Tamta: niby estetyzm, ta: niby trud poznawczy. Ależ „niby"!

6. Poezja może wypowiadać ontologię. Ale **być** — musi ontoskopią.

7. Po złotodziejstwie filozofii, o której wiem, że uspokojenia dać nie może, ona, właśnie poezja, spina uczucie, wyobraźnię i intelekt klamrą woli-formy i daje piękno. Piękno zaś jest ideałowi szczęścia najpodobniejsze i stanowczo najbliższe.

8. Rozumienie a „rozumienie" poezji. A złuda rozumienia, poddawanie się różnym skojarzeniom własnym, podczas gdy tekst nie jest uświadamiany ani brzmieniowo, ani sensowo (lub chyba mylnie, mgliście itd.).

9. Ani gramatyka, ani słownik, ani logika, ani zmysły poszczególne, ani wielozmysłowość, ani życie samo nie wyznaczą, nie urzeczywistnią poezji. Gramatykalizm zabije, słownik stropi, logika uwymierni, zmysł odosobniony niegodnie okaleczy, wielozmysłowość rozbuja, ale jednokierunkowo, życie zaś wykolei, uwiedzie w szczerą prozę, w katalogowanie surowca, w reportaż.

Życia język to znów oklepanki, negacja tworzenia. Wielozmysłowość treści jakże często zatumani piszącego: pławi się taki w „obrazach" wzrokowych, słuchowych, dotykowych i jeszcze innych, a głuchy jest na słuchowość przyrodzoną poetyckiej formie i skrzeczy monotonią, razi niewymawialną kombinacją głosek (głoski są mu niestety literami!), nie rozumie, nie wyzyskuje walorów rytmu itd. Jednozmysłowiec (w praktyce przeważnie wzrokowiec) podrabia niejako malarstwo, poezji zaś nie pozwala uczynnić i rozwinąć naturalnych, rdzennych możliwości polisensualistycznych. Logik nie wie albo zapomina, że poezja nie jest sztuką przestrzeni, ale czasu i że już ten jeden rys jej charakteru uprawnia a poniekąd nawet zmusza do zmieniania założeń. Logik odrzuca albo preparuje śmiertelnie wszystko, co w człowieku irracjonalne, choć przecież pewne, choć potężne, choć ku poezji najochoczej skłonne, poezję silić, poezję wzniecać umiejące. Słownik? Słownik nie poważa, nie kocha metafory. Cierpi ją o tyle, o ile się utarła tj. leży w trumnie. Gramatyka bywa za często kaznodziejką (gramatyka normatywna, nomotetyczna), nie zaś podziwem, nie lotem intelektu za cudami rozwoju, za twórczością, za indywidualną magią ujęzykowiania tego, co w nas nowe, śmiałe, żywiołowe, nieograniczone, wiekuiste i boskie.

10. Jakiż potwór! Mniema, że wyjaśni, że wyczerpie poezję gramatyką.

11. Metaforyka, rytmika itd.: same cząsteczki, same jednokierunkowości. Czemuż nie glottyka, nie problemat powszechny, harmonijnej działalności we wszystkich kategoriach językowo - stylistycznych?

12. Im ciaśniej słowu, tym mu lepiej.

13. Myśl nabiera kształtu w słowach (lub innych symbolach). Jako zdanie, jako układ zdań (lub innych symbolów) jest dopiero przedmiotem. Może podlec badaniu, krytyce, sprawdzeniu.

Czym zdania myślom, tym utwory liryczne poecie-człowiekowi.

14. Nie stworzywszy wartości w sobie, nie stworzysz jej w poemacie lirycznym.

15. Obiektywizując swoją prawdę człowieczą w utworze, ułatwia sobie liryk rolę samoopiekuna. Rozdwaja się: na sądzony (i doskonalony) przedmiot, na sądzący, duszpasterski podmiot.

Ale warunek zasadniczy: liryka nie bawi się gołosłowiem.

16. Poezja nie jest sportem słów, panowie. Ani krytyka totalizatorem.

17. Wiersz a wiersz. Tak samo jak muzyka a metronom.

18. Przenośnie, porównania — winny nie tkwić, ale żyć w organizmie utworu.

19. Poeta kojarzy treści, grafoman tylko słowa.

20. Człowiek surowcem poety: o tym słychać, o tym, poeci, pamiętamy. Jakość człowieka? O niej liberalizm dnia mijającego wyrzekł, że obojętna.

21. Treść — myślisz — od razu była dojrzała? Wcale nie była. Oczyścić ją dopiero należało z konwenansu, z nawyku osobniczego, z poetyczności. Uczynić prawdą. Wtedy początek formy.

Ale i forma nie od razu gotowa. I ją oczyszczać trzeba z konwenansów, z rutyny, z automatyczności. Uczynić walką. Wtedy początek piękna (początek sztuki).

22. Liryka: rafineria duszy.

23. Stopień pierwszy. Treść jakakolwiek.

Stopień drugi. Treść wartościowa.

Stopień trzeci. Treść wielkowartościowa, wypracowana bohatersko życiem: prawda, dobro i piękno (piękno aprioryczne, od utworu, od myśli o utworze wcześniejsze, od piękna zaś utworowego całkowicie, substancjalnie różne).

24. Tak bardzo przywykli ludzie dzisiejszego pośpiechu i niewybrednego nadmiaru do znaków i do słów utartych, że nie postrzegają ani wyzyskują znaków innych, właśnie nowych, doraźnie, ale i wspaniale (bo twórczo) użytych.

Utwór poetycki jest przedmiotowo zbiorem i układem znaków, jest — możnaby powiedzieć — znakiem zbiorowym. Ile zeń wyczytasz, tyle twego bogactwa przeżyciowego, estetycznego, tyle dobra.

Frazes o czytaniu między wierszami nie jest głupstwem. Jedno przecież zastrzeżenie: między wiersze należałoby wstępować dopiero wtedy, kiedy się wszystko (czyli w praktyce: jak najwięcej) wyczytało z wierszy. Bo inaczej cóż? Łatwo zbłądzić.

Jeśli czytelnik lepszym jest poetą od autora, niech sobie błądzi! Jeśli gorszym, niech czyta.

25.

— Formą utworu lirycznego jest treść po selekcji, treść przebrana, ograniczona do szczegółów czy składników najważniejszych, najbardziej istotnych, najświadomiej, najkrytyczniej oczyszczonych z pozy i fantastyczności.

— Mówisz jasno, ale nie domawiasz. Gdybyś był malarzem, wiesz, o czym byś się rozwodził? O modelu. Jak ten model ustawić, jakie mu dobrać tło, jakie narzucić światło itd. Lecz malowanie? Lecz obraz? Przecież ani malowanie nie byłoby kopią zabiegów modelotwórczych, ani obraz powtórzonym modelem. Otóż i poemat liryczny nie jest „oczyszczoną treścią": jest wytworem pracy artystycznej w surowcu języka.

— Więc dwuplanowość formy?

— Jeśli ze stanowiska wyjść twojego, dwuplanowość. Żaden z dwu „planów" nie może pójść w lekceważenie. Twój entuzjazm wobec etyki modelotwórstwa zasłonił ci był oczy na estetykę dzieła ostatecznego, na tworzenie, na istnienie, na swoistość treścioformy samowystarczalnej, już poniekąd nadprzeżyciowej i nadjednostkowej, a dopiero obiektywnej, w sobie sprężonej, dynamizmem wartościowej ewentualnemu odbiorcy.

26. Zaraz, zaraz! Zgodziliśmy się, że przed treścioformą istnieje, istnieć powinna sprawa treści. To znaczy: człowieczeństwo autora (dynamicznie — w całości, ze względu zaś na poszczególne utwory bodaj ułamkowo). Zgodziliśmy się żądać człowieczeństwa szlachetnego, wartościowego. Co będzie z krytyką? Ma być formalna? Jakimże prawem żąda „szlachetności", kiedy „forma" ujmować umie także bylejakość?

Żąda — prawem wielkości.

Krytyka winna nie — narzucać programy w guście: koniecznie urbanistyczny, koniecznie katolicki, koniecznie proletariacki. To wstrętne (bo głupio zarozumiałe, ciasno dogmatyczne itd.). Krytyka winna potępiać nijakość, przypadkowość, drobnostkowość (niechęć do syntez i wielkości), a wymagać osobowości, oryginalności i pracy nad oryginalnością (człowieczą; o formalnej w tej chwili nie mówimy), kierunkowości (tj. jakichś przecie ideałów, co nie znaczy, by ideał własny krytykującego uważała i okrzykiwała jedynym lub jedynie wartościowym), harmonii i walki o nią itd.

Kryteria „pozaliterackie"? Nie! Nie, skorośmy treść w środowisku treściоformy uznali rzeczą istotną i warunkującą.

TADEUSZ BOCHEŃSKI *(Zakopane)*

NOCNA INWOKACJA

Odstąp mnie, czarny przyjacielu,
przynęty twoje wszystkie na nic —
dla żądz i pragnień moich wielu
nie ma już żadnych granic.

Cóż z tego, że na mojej drodze
kamienie polne zmienisz w chleby,
gdy inny głód mnie pali srodze
i inne mam potrzeby.

Cóż mi imperia i obszary,
cóż ziemskie władztwa i monarchie,
gdy inne wagi znam i miary
i inne znam hierarchie.

Za cóż mi laur, co skroń oplata,
gdy mnie owiewa wśród ogromu
tchnienie przedwieczne, co przelata
od gwiazdy do atomu.

Gąbkę podaje mi cykuty
anioł nie Światła, lecz Ciemności,
gdy do skał grzechów mych przykuty
pragnę Nieskończoności.

Sól ziemska w żyłach moich płynie,
nurt zdarzeń dzieje swoje toczy,
ale pod spodem na głębinie
nie twoje widzę oczy.

Więc odstąp, czarny przyjacielu,
na nic zasadzki wszystkie twoje:
wśród niebezpieczeństw groźnych wielu
na wyspie łaski stoję.

MARIAN PIECHAL

KOŁYSANKA UZBECKA

Uśnij, mały, zaśnij, mały.
Ojciec twój na wojnie,
A noc niesie dzban na głowie:
Księżyc.

Śpij! Osiołek ryczy w dali,
Noc zawiewa chłodem,
Ale masz dwadzieścia kołder!
Uśnij.

Matka chyli się nad tobą,
Jak nad złotem skąpiec.
Świecą gwiazdy. To słowicze
Nuty.

W piecu róże ognia płoną,
By ci było ciepło,
Lecz nie chwytaj róż tych, synku —
Parzą!

Ja upiekłam ci placuszek
Z najsrebrzystszej mąki,
Abyś nie był głodny, synku.
Zaśnij.

Jak wielbłądy, moje słowa
Cię kołyszą.
Sen to podróż. Uśnij, synku.
Dojedziemy!

Świt otworzy bramę złotą
Memu dziecku.
Uśnij. Wróci ojciec z wojny
Cały.

Uzbekistan. Fergana 1943 r.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

MIŁOŚĆ

Przed laty raz z samego rana,
ażeby człowiek smutku nie miał,
błysnęła jasność nieprzebrana,
której na imię dano — ziemia.

Tu byłem — gwiazdy niedosięgłe,
korzenie, trud i struny czułe,
aż zadyszanym krążąc pędem
ptakiem na drzewach się wyklułem.

I pokochałem kraj śpiewnością,
która jak wiosna w źródłach gra mi...
I choćby wróg pierś moją rozciął,
konając będę błogosławił.

Tutaj przeżyłem jako chłopiec
najlepszy czas nie znając cierpień
i podźwignąłem ręce obie
jak snopy na słonecznym sierpie.

Ojczyzno, w pieśń i w płacz spowita,
zmartwychwstająca w ogniu miecza —
Ciebie uśmiechem dziecko wita
i Ciebie wielbi śmierć człowiecza!
(„Wiersze z konspiracji" Łódź 1940—42)

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

SMAK DNIA OWEGO

W to, takie samo rano,
dalekie, jak wolność działa
otrząsały z oszronionych drzew,
gałązki, zamróz i ziąb —
i znowu cisza tak samo
dotyka oczu.
Lecz oto
z krwawego lotniska słońca
czarne rakiety samolotów.
Przez ziemię na ukos, na przełaj
straszliwe kroki bomb,
coraz...
coraz bliżej.
Tysiące oczu wbitych w niebo
łapie w źrenice warkot motorów:
przeciwlotnicza artyleria
nadziei.
I już wiadomo wszystkim,
że Bogucicom bliżej ku wolności
o dwa kilometry.
Ciężki, zielony czołg
wypatrzył ślepe lufy w krajobraz, —
pierwszym zakrętem drogi za miastem
zapomnieliśmy o nim.
I nic, tylko dudnienie — w basach —
na fortepianie ocalałych szyb.
Katowice. Styczeń. Szósty rok wojny.
...Pierwsze granaty wolności
wyszarpują ptakom chmury spod skrzydeł.

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

* * *

Siostra moja ma uśmiech inny,
gdy umarłych przechodzi pokojem,
śni okrutny sen lub dziecinny
pod kamiennym czoła zawojem.

Kariatydy w dłoniach niosą pałac;
siostra moja, o kariatydy,
marmurowym płaszczem wołała
barbarzyńców, gdy ślepi idą.

Konie nocy pustym krajem biegły,
przodem sadził złocisty lew,
gdzie wśród ruin bazaltu cegły
zastygały po bitwie jak krew.

Siostra moja ma uśmiech rozumny
gdy, umarła, każe, bym strzegł
ocalonej, wysmukłej kolumny
na pamiątkę, że istniał nasz wiek.

PAWEŁ HERTZ

DRZEWOM SERDECZNYM

Gdzie się piętrzysz, smukła sosno,
gdzie się chwiejesz, dębie szumny?
Gdzie te drzewa biedne rosną,
które zwalą dla mej trumny?

Chcę je ujrzeć choć z daleka,
jak się w słońcu śmieją dumne,
nieopatrzne, nierozumne,
nie wiedzące, co je czeka.

Bracie dębie, sosno siostro,
dziś w obłoki się patrzycie,
jutro drwal siekierą ostrą
zetnie wasze bujne życie.

Dziś was cieszy deszcz i rosa,
rozjaśniony strop niebieski,
jutro stolarz was ociosa
i zhebluje gładkie deski.

Chcę pogłaskać was po korze
w blasku słońca, w skwarze lata,
zanim kości swe w was złożę,
zanim los nas wspólny zbrata.

1944 *(„Wiersze dla syna")*

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

STASZCZYKOWIE

Noc. Ciężarna kobieta siedzi przy stole, zrywa się, chodzi po izbie, potrącając sprzęty, za nią cień spotworniały nietoperza czepia się ścian i koluje ciemnym migotem i rozłazi się od podłogi do sufitu. Cierpliwa lampka karbidowa oblizuje się różowym językiem jak kot w oczekiwaniu żeru i nie rozjaśnia ciemni małego domku, baraku skleconego z desek, w którym samotnie miota się w czterech ścianach kobieta. Z podwórza dochodzi ujadanie Kruczka, który już nie ma czego pilnować: pusty jest dom. Dzisiaj zabrano męża kobiety. Przy sposobności wzięto i świnię. Nie zdążyła im Staszczykowa postawić wódki, śpieszyli się, podpierając się karabinem, szukali łapczywie we wszystkich kątach, świni, kiełbasy, polskiej zbrodni. Jeszcze teraz słyszy Staszczykowa stukot i szczęk karabinów, którymi uderzali o podłogę, teraz, gdy przymyka orzechowe, groźne oczy i przypomina sobie, jak to ci sami, wachmistrz Henke i starszy sierżant Piwarek, siedzieli jeszcze w zeszłym miesiącu przy wódce, skarżyli się na Heimatweh i w czerwonej, dobrodusznej gębie sierżanta Piwarka bure oczki zachodziły mętną zielenią. Trącali się szklankami i namawiali kobietę, żeby piła, chwalili dobrą kiełbasę, a potem ryczeli „verrecke du polnisches Schwein" i całowali się ze Staszczykiem, rubasznie klepali go po ramieniu. Wypili wtedy trzy litry wódki, w ciasnej izdebce chrapali do rana. O świcie poszli na Dąbie łapać przyjeżdżających z towarem, zabierać słoninę, legitymować.

— Ty, Józek, jesteś porzunny chłop — żegnał się sierżant Piwareck we drzwiach ze Staszczykiem — jeszcze kiedyś przyjdziewa tu na porzunna popijawa — obiecywał Ślązak Alfons Piwarek.

Oczy nalane po brzegi zgryzotą, orzechowym cieniem, drobne, skąpe łzy ciekną po zniszczonej twarzy jak rosa z liścia. Rozalia Staszczyk wydała już na świat troje dzieci, ma już troje dorosłych dzieci, ale żadnego nie ma w domu — pusty jest dom i pusty jest chlew, a teraz siedzi gruba jak świstak przed zimą u wystygłego pieca, z czwartym pod bujną piersią, tym czwartym, które uratowało jej dziś życie.

— Maryna, Józek, Edek — jęczy kobieta i uderza twardo czołem o stół — Dzieci...

Gdy weszli Niemcy do Krakowa, Maryna Staszczyk przeleciała przez izbę jak błysk płomienia. Smukłość, chudość, taneczność, i zęby, i oczy, orzechowy, palący płomień włosów. Tylko przyróżowała policzki, tylko jaskrawym lakierem pociągnęła usta, na zwinne nogi para tanich pantofelków, i już przybiegła do nich, pięknych, mocnych, niosących z sobą dech zwycięstwa i wyższego życia.

But, lakierowany but, który postawili Niemcy na karku pokonanych, urzekł Staszczykównę Marynę. Pełna ufności przystawała z lotnikami w cieniu krzaków, pozwalała zwycięzcom na nagłą miłość. Wkrótce sława małego domeczku na pustej parceli dotarła tam, gdzie należy. Zwycięzcy życzliwie przyjmowali dobrowolny haracz miłosny. Maryna zaś przyjmowała czekoladę, papierosy, wódkę i nowe pończochy, na półce, gdzie stało małe lusterko w kształcie serca, stanęły wkrótce serie fotografii młodych, obcych żołnierzy. Maryna od-

sprzedawała podarki kochanków, matka handlowała mąką, cukrem i słoniną, jeździła na wieś, pomagała zabijać wieprza, rychtować kiełbasy, ojciec co było wynosił z domu do swojej, jadał w domu, nocował u tamtej — wesołe noce tulił w czterech ścianach obielonych niebiesko, kruchy barak, wesołe pieśni niemieckie rozbijały się o sufit, i jednakowym, czujnym lśnieniem umykały pod namiętne powieki orzechowe oczy dwóch kobiet, matki i córki.

Nad barakiem zamykała się noc i przez gęstą, czarną, niedomkniętą noc sypał się i przesiewał drżący migot gwiezdnej manny. Nieludzka, naga noc nad ziemią pojmaną i skopaną okrutnie. Nad krzywdą i łzą dziecięcą, nad bólem męskim, nad łkającym krzykiem kobiecym. Wróg czuwał. I gdy w baraku pijani Niemcy obłapiali kobiety z rodziny Staszczyków, wróg w innym miejscu nie zasypiał, twardym, ciężkim, nie lakierowanym butem, który urzekł Staszczykową Maryśkę, kopał i tratował, i dusił oddech, i przygważdżał do ziemi to,co było racją istnienia.

Do fotografii przybywały listy. Zmysłowe, naiwne, chłonne oczy Maryny, oczy kurwy i dziecka, których spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, ociężałe, niechętne a zapraszające do spania, pod rzęsą, które migocze tak ostro — sylabizowały z trudem obcy tekst. Bez wstydu, z dumą pokazywała Maryna te listy na różowym papierze, znajomym paniom, przychodzącym po słoninę. Co pisze Hans? Czy tęskni za mną Paul? I czy przywiezie nową sukienkę Otto? Bo trzeba przyznać, że Maryśka mało miała za swą życzliwą współpracę w porozumieniu dwóch narodów, pana i knechta. Po dawnemu jej wiosenne ciało opinał kusy, tani płaszczyk, tylko różowa bielizna była lepsza i mocno pachniała akacją. Czasami, dla kaprysu, pobawiła się Maryśka z Polakiem, lecz nudziło ją to rychło. Tylko to: smak warg zwycięzców na wargach, co za upojenie! I przekraść się z gachem do niemieckiego kina, co za przygoda!

Tętniła Polska podziemnym życiem, młode kobiety przenosiły tajną gazetę i zdobywały stopień wojskowy, na metalowym, odrapanym łóżku po dawnemu tuliła się Maryśka do Niemca. Tej nocy Niemiec pochwalił się: sam zabił coś dwudziestu Żydów — jak namiętnie przywarła do niego dziewczyna, czując w uścisku żar ostateczny, żar śmierci, hańby, poniżenia, które może zbliżyć rozkosz.

Józek pracował w fabryce, Edek sprzedawał papierosy, gdy trzeba było zameldować się w Arbeitsamcie Maryna dostała nocną posadę w kasynie. Dzień nieubrany, leniwy i zły, senna dziewczyna, jak głodny kot przeciąga się i wzdycha, w pochmurnym wygięciu ust zatają zdrowy i mocny śmiech, którym rozmigocze się po południu, gdy poczuje pod swoim ramieniem ramię w mundurze. Z nocnej pracy w kasynie przynosi sterty niedopałków. Pieczołowicie wytrząsa z nich tytoń Edek, całe worki tytoniu zabiera Staszczykowa na wieś.

Występnym, przewrotnym fluidem emanuje drewniany dom. Zjawiają się w nim handlarki zbyt umalowane, zbyt twardo śpiące na chrzęszczącej sofce, po całonocnych libacjach, jacyś podejrzani młodzieńcy, chowający w zniszczonych portfelach całe pliki górali. W izdebce Staszczyków odbywają się tajemne transakcje, w sąsiednich

domkach giną kury i gęsi, w gęstych, mdlących oparach gotujących się dla świń obierzyn — gotują ciągle, głodna świnia kwiczy i bije w puste koryto — w smakowitym, tłustym oparze smażonych pączków — u Staszczyków jedzą obficie, tłusto, wszystko naraz — snują się szepty, namowy miłosne, erotyczne wzdragania, fachowe układy, cała ferajna biedy, występku, drogiego pieniądza.

W marcu wywożą Józka do Rzeszy, Maryna traci posadę w kasynie. Na ochotniczkę zgłasza się do reichu, sama wybierze sobie pracę. Tętni nadzieją, pociąga ją podróż w nieznane, w ten wielki kraj, w którym spotka może Hansa, Paula, Ottona? Wzdycha Staszczykowa: „oj, nie jedź ty córuś, przydasz się w domu, lepiej umyj podłogę". Wściekła odgryza się Maryna: „a jakże, będę wam wasze gówna prała, kiedy ojciec porzucił dziwkę, sam może umyć podłogę. Będę tu z wami siedziała w waszej polskiej biedzie, młodość tracić, pójdę tam, gdzie mi zapłacą!"

W kwietniu napisała Maryśka oczekiwany list do domu: „Przyślijcie mi buty, sukienkę, pończochy, bo mi skradli w drodze walizkę, przyślijcie mi także chleba, gęsty grzebień i maść na świerzb."

Mała prostytutka, Maryśka Staszczyk, opuściła swoją ziemię, ale żaden Hans na obczyźnie jej nie poszukał.

W sierpniu, podczas szczelnej łapanki, schwytano Edka, handlującego papierosami, Edka, chorego na gruźlicę. Trzy tygodnie przesiedział w Płaszowie — wielkim głosem ryczała Staszczykowa na strażników: oddajcie mi dziecko! — powróciła do domu złamana, lecz tak ładnie umieli pocieszać wachmistrz Henke i st. sierżant Piwarek.

Z Magdeburga napisał Edek swój pierwszy list: chleba....

Po dawnemu jeździła Staszczykowa na wieś, Staszczyk, pracujący teraz na kolei, odbierał od niej na dworcu towar. Powinęła się raz, drugi noga, jakiś donos zawistnego sąsiada. Czym płacić, skoro nie ma Maryny, tak obficie umiejącej zarobić? I przyszła wreszcie ta noc, gdy razem wyciągnięto świnię z ciepłego chlewika i Staszczyka z ciepłej pościeli. Ci sami, niedawni kamraci, dziś nieugięci, obcy, koszmarni. Który to kopnął Staszczyka w twarz? Wachmistrz Henke, st. sierżant Piwarek, czy chudy Ukrainiec Ołeniuk? Który uderzył Staszczyka w brzuch? —

Na wydętym brzuchu składa Staszczykowa ręce i jęczy. Rozchwiany cień rozczochranej głowy szybko spłynął z sufitu. Karbidowa lampka pryska i parska jak kot. Kobieta jęczy. Przez szparę wcisnął się wiatr i zatarmosił płomieniem. Pod podłogą przesunął się zduszony pisk szczura, kobieta nadsłuchuje i wzbiera rozpulchnioną masą, ciężkim krokiem zbliża się do szafy. Całą szklankę czystej, jednym, drugim haustem. Pije i czuje ból coraz bliższy, coraz sroższy, przecinający ognistym ostrzem brzuch. Staszczykowa jęczy i miota się, tragiczny, rosochaty cień załamuje na ścianie ręce. Mała karbidka uspokaja się jak nasycony kot, rzuca na izbę kilka krótkich, pełgających, różowych iskier i gaśnie. Noc.

MARIA SZCZEPAŃSKA

ŚLAD

Gdy się obejrzał, zdyszany, na szarym bloku narożnej ściany leżał czerwony ślad.

Poprawił czapkę, ciągnąca za nim seria zostawiła tylko ten ślad po odpryśniętym od kuli tynku.

Zdyszany gołąb przeciągał nad studnią podwórka. Był wiatr. Przez bramę widać chmury kurzu wesoło podrywane uderzeniami powietrza jakby wystrzały pędziły je przez pustą, swobodną ulicę.

Przez rozpiętą marynarkę swobodnie gonił po piersi rozkoszny strumień chłodu.

To był jedyny moment, który pamiętał w tej chwili.

Ale jakże miał taką błahostkę opowiadać tym kilku ludziom, którzy patrzyli nań wyczekująco.

Teraz Nina prosiła naprawdę. Widział po jej oczach błyszczących w słodkim cieniu letniego wieczoru.

Pierwszy raz właściwie przy kimś prosiła go o opowieść z tych dni.

Rozkoszny chłód nadciągający od łąk z wieczora usposabiał go leniwo. Dym papierosów odpędza nawet dokuczające zwykle o tej porze komary. Dalekie pokrzykiwania nadciągających od łąk pastuchów niepokoiły błogo. Wszyscy ci ludzie wokół niego byli swoi.

Trzcinowy fotel trzeszczał, gdy niechętnie uniósł się z oparcia.

Obie jego dłonie jaśniały silnymi plamami na poręczach. Lewa z nieregularnym konturem wyłamanych przez ciemną protezę na miejscu dwóch amputowanych palców.

Tamci siedzieli w milczeniu. Coraz wyraźniej już błyszczały ogienki papierosów.

Po pierwszych słowach poczuł, że ma chrypkę — niechętnie zaczął, by po kilku zdaniach wyczerpujących ten epizod, gdy to biegł na punkt — zamilknąć.

Rozpiął guzik marynarki i opierając się głębiej dorzucił półgłosem: „tak rano wtedy, przez tę rozpiętą marynarkę gonił chłód"...

Nikt nie mówił. W głębi pokoju ktoś ustawiał naftową lampę. Ciche światło przemknęło ku nim przez szparę w uchylonych drzwiach.

Nadchodziła cisza.

Jakże inny był świat tamtych dni.

Leniwie poruszył się w fotelu.

...To było tam...

Siedział wychylony z cicho tłukącym sercem.

Kanonada wzmagała się. Wielki gmach bił ogniem maszynowym i ręcznym. Biegali tam na pewno przerażeni, głuchnący w huku ludzie.

Z satysfakcją poprawił się na fotelu. A on tu siedzi i jeszcze na pewno będzie sobie siedział w ciszy z pięć minut.

Niechętnie się podniósł.

Jednak nie — trzeba już.

Zeszedł na parter. Wszyscy chłopcy stali przy ścianach. Brama przeciwległego domu była już rozwalona wybuchem. Jeszcze ogniem k.m. sprzątali, borowali głębiej przejścia. Zeszli na schody — kule

kląskały po ścianie. Pamiętał, że uśmiechnął się do zakwitających na murze śladów pocisków. Dobra wróżba — przeskoczy. Przeskoczy.

Obejrzał się na swoich.

Zapamiętał do dziś dziwne spojrzenie Chyżego. Mieli wyskoczyć. Nadchodził czas.

Kulawo grzebiąc ręką z sztywną protezą w kieszeni nie mógł wyciągnąć papierosa. I to pamiętał, jak przypomniał sobie, że przecież nosi papierosy w drugiej kieszeni. Gdy właśnie znalazł go w prawej — papierosa — tam, gdzie być nie powinien. Ze złością wyciągając go — „uwaga" — warknął. Zmiął papierosa skacząc w warkliwe powietrze bramy. Minął go już między tęgimi filarami przeciwległej rozwalonej bramy gwizd dartego przez kule powietrza.

Skoczył przez rozdarte worki — drugim skokiem odbił się od leżącego na ziemi ciała zabitego i bijąc serię przed siebie rąbnął potężnie siłą rozpędu o ścianę.

Nie wiedział jeszcze, że jest już w bocznej klatce schodowej chronionej przed kulami broniących głównego wejścia k.m.-ów.

Nie wiedział nic jeszcze, gdy radośnie obolały przyjął cios spadającego nań ciała.

Po chwili wiedział już, że jest ich tylko pięciu zamkniętych we wrogim gmachu.

Patrząc na twarz Chyżego, który leżał najbliżej ich wejścia rozrzucony szeroko, na twarz wyrażającą jakiś ostatni wysiłek — patrząc na twarz, jakby chcąc odczytać, co chciał powiedzieć otwierając tak usta — patrząc tak, wiedział już, że z dwudziestu ma już tylko tych czterech skulonych za nim ludzi.

Poskoczył ku schodom. W półmroku okna schodowej klatki zawalone workami dostrzegł na czas wykwitające przed nim na ścianie czerwone ślady. Trzymali półpiętro.

W rozpaczy, przerażony, czując zgubę krzyczał ku tamtym groźnie o poddaniu się. Jego chłopcy strzelali bez sensu w mur.

Nie mógł dogonić oddechu — czuł, że tu się skończą.

Wtedy z góry usłyszał wołanie. Schodził pierwszy poddający się żołnierz. Widział jego sylwetkę, jak niezdecydowany stał na półpiętrze.

Zawołał nań zachęcająco.

Już schodził, powoli.

„Wróć" — to chciał właśnie powiedzieć przez zaciśnięte dziką radością gardło do wysuwającego się przed niego chłopca — to chciał powiedzieć, nim spostrzegł ruch ręki schodzącego z rękami do góry żołnierza — ruch, który o ułamek sekundy uprzedził skok tamtego w bok za załom. Zdążył raz — za późno zresztą — strzelić, gdy już wybuch rzuconego podstępnie granatu rzucił go o ścianę.

Może był po tym wszystkim ogłuszony, może osłabiły go te kontuzje, ale drżał, gdy w parę godzin potem przebiegał na czele ludzi przez zdobyty gmach szukając zamkniętych tu zakładników.

Prędko i obojętnie wyminął rozrzuconego na workach Chyżego, głębiej poszarpane granatem zwłoki tego, którego niecierpliwa młodość wygnała ku śmierci.

Ach, ale drżał krzycząc do swoich ludzi, by podawali łomy, prędzej, nie będzie się tu pieprzył pod tymi drzwiami. A potem, gdy pękły zawarte drzwi piwnicy, gdy pomieszały się okrzyki, gdy wybiegł po schodkach znów na powietrze, by nie babrać się po mazgajsku w radości, gdy tu nad rozwartymi oczyma rozprutego kolegi krzyżowały się wołania, gdy słyszał, jak pierwszy uwolniony wychodzi przez stłoczony szpaler jego ludzi zmieszanych z radością, z czystą radością tego chmurnego dnia, gdy zobaczył go — siwego listonosza — z długim wąsem, gdy zobaczył go, jak pijany światłem, stoi i płacze z radości nad pochmurnym lochem zejścia, gdy zobaczył, gdy poczuł go, tego obcego człowieka, tego listonosza, gdy poczuł go w ramionach, gdy płakali czy mówili sobie coś, czego nie rozumieli, nie pamiętali, nie potrzebowali, tak, czego nie potrzebowali rozumieć, gdy to wszystko — to wciąż ciął go po ciele drobny dreszcz, dreszcz uniesienia.

... Ocknął się.

Zaczynało być chłodno.

Zapiął marynarkę. Fotel trzasnął.

Tamci milczeli.

Teraz tylko ogienki papierosów jarzące się w czerni zapewniały o ich obecności.

Zaniepokoił się, że Niny nie ma.

Z radością złapał w błysku rozżarzonego papierosa delikatny, pisany na olbrzymiej przestrzeni nocy — jej profil.

Po chwili zapadł znów w otchłań ciemności. Tak. I on znowu wtulił głowę w ramiona.

Pochylony schodził w odsłoniętą dziurę kanału.

Jeszcze jedno zaciągnięcie się papierosem któregoś z nich przypomniało mu bezsensownie letnią panoramę świateł tego miasta — dziś przeklętego. Żegnał je schodząc oto niepewny, czy wyjdzie kiedykolwiek ze śmierdzącego lochu.

Tu zostawiał za sobą ludzi zbłąkanych w kamieniu, płomieniach, błocie, rozpaczy.

Jakże dziko dusił go pot w dusznym, niskim korytarzu, gdy z pokornie pochyloną głową, niski, obolały po kontuzjach lazł ku śródmieściu — uciekał złamany od wroga, z głupią nadzieją — do tego samego przecież miasta pogrążonego w kamieniu, płomieniach, błocie, rozpaczy. Ach i deptał po trupach. Tak, po trupach ludzi, którzy padli, i wyrywał z ciemności nogi, gdy chwytały go z grząskiego bulgotu błota ręce wdeptywanych w topielną śmierć dzieci. W niskich przejściach idący przed nim wysoki oficer posuwał się naprzód na klęczkach.

Szli więc wolniej. Wściekły, dusząc się — minął tamtego — w szerszym miejscu, sam idąc, niski jest schylony w pół.

A potem te godziny, gdy wściekle darł kołnierz koszuli dusząc się, nim dopadł miejsca, gdzie bliski otwór ulicznego ścieku pędził strumień powietrza. A potem znów te godziny, gdy opadających z sił rąbnął raptem odgłos wybuchu i nieludzki długi krzyk. Krzyk, który trwał, gdy stali oniemiali, oparci o brudne ściany kanału, trwał — gdy zawróciwszy gnani przerażeniem uciekali wlokąc się zgięci, powoli.

Trwał wysoki, wibrujący, chyba kobiecy ryk nieludzkiego przerażenia.Uciekając wiedzieli z tchórzliwą pewnością, że to tamci odcięli kanał wrzucając granaty, lejąc benzynę płonącą — zabijając. (W rzeczywistości to walił się nad nimi trafiony bombami kościół Aleksandra). —

— Cóż, że opanował siebie i to stado pomieszanych ze sobą żołnierzy, kobiet, starców i dzieci, i cywilnych zwykłych ludzi.

Cóż, że wyprowadził ich na ziemię.

Cóż?...

Drgnął.

To Nina powstała — jej wysoki głos ogarnął go spokojnie.

Po tych kilku czy kilkunastu może minutach milczenia ludzie drgnęli i poprawili się w fotelach.

Nina mówiła coś — najzwyklejszą rzecz, coś o tym letnim wieczorze — i przeszła z tarasu do pokoju.

Tamci zapalali papierosy.

Nina wracała z naftową lampą w ręku. Palenie miało odpędzić nadciągające ku światłu owady.

Twarze ludzi ujęte aureolą miękkiego światła miały dlań jakiś wyraz świętości. Nie wiedział czemu, może przez widoczny na nich spokój.

Raptem odczuł strach, że to jest może pozór. Że może prawdziwych ich widział wtedy. Znów ciemność zdawała się następować groźnie. Cisza ciążyła mu. Fotel trzasnął, gdy uniósł się z oparcia. Piękne jego ręce leżały nadal spokojnie na poręczach — jedynie kształt lewej ręki, białej, jasnej — wyłamała niepokojąco ciemność i czerń protezy na miejscu dwóch amputowanych palców.

...„Ach wiecie, wtedy..." zaczął, miał chrypkę — „wtedy, gdy to biegłem na punkt przez ten narożnik pod obstrzałem, gdy to na szarym bloku obejrzawszy się ujrzałem jedyny czerwony ślad po kuli — wtedy zostałem właściwie trafiony". —

Uśmiechnął się. „O, tu" — rozpiął marynarkę i położył palec na widocznej ciemnej cerze.

„Tu, na wsi, noszę często to stare ubranie. Uśmiechnął się do twarzy w aureoli świętości spokoju. Ktoś spytał: „jakto — ta łatka czy cera?"

„Tak — ślad po kuli".

ROMAN BRATNY

Zamieszczoną w numerze 1 żałobną listę współpracowników „Kameny" zamordowanych przez zbrodniarzy hitlerowskich musimy, niestety, uzupełnić nazwiskami

STEFANA NAPIERSKIEGO

i WITOLDA MILESKIEGO

DRWALE

O jakaż żmudna niekiedy
Droga poznania bywa!
Bieży w tak stromych skrętach
I naraz się urywa
U proga starej karczmy
(Spragnionym coś bardzo w porę)
A piją w niej czarni drwale:
„Chodź z nami machać toporem,
„Ramiona masz rozrośnięte,
„Chodź z nami w gęstą puszczę,
„O jakaż to znojna rozkosz
„Przez drzew przedzierać się tłuszczę,
„Nocą przy smolnym ognisku
„Pozdrawiać dymu kłęby,
„A rankiem rdzawe od słońca
„Powalać sosny i dęby...
„Chleb zwilgotniały od rosy
„Ma ostry zapach tarniny.
„Jakże daleko za nami
„Są wszelkie Cnoty i Winy!
„Pokryte chropawą rzesą
„Drzemią oślepłe jeziora,
„Trawa jest jasnozielona,
„Ciemnobrunatna drzew kora.
„O jakże godny zazdrości
„Jest los każdego drwala,
„On swym toporem zwycięskim
„Najwyższe drzewa obala!
„O jakże godna zazdrości
„Bywa śmierć prawych drwali,
„Gdy na nich z trzaskiem gałęzi
„Zrąbane drzewo się zwali..."
Śpiewają drwale pieśni,
(Któż losom oprzeć się zdoła?)
Migocą lśniące topory,
Pachnie żywiczna smoła.

JANINA IZDEBSKA

SŁOMA

Słomo, którą w sieczkę zamieniły dni,
pachniesz ciężko —
ziarno, które oddałaś na chleb,
może też wzeszło
w myślach gorzkich —
a ty najbliższa jesteś przy mnie.
Ciebie żałuję,
że kruszejesz, uciekasz, odchodzisz —
Przyjaciółko słomo —
ty znasz miłość
i wolność znasz —
kiedy rosłaś w słońcach
w deszczach i wietrze —
a teraz
przy mnie jesteś
tak samo —
zamknięta ciasno w kolczastym kwadracie,
słomo —
przyjaciółko wierna —
ty jedna wiesz — dlaczego
nocą płaczę.

Obóz jeńców Oberlangen
2 marca 1945 r.

JOANNA ŻWIRSKA

EGZEKUCJA

Pęta
na rękach zamotane, zaczute,
krok
szybki, śpieszny
wśród braci korowodu.

Serce bezwładne czekaniem
— krzyk oczu rozwartych
i zaciśnięte wargi —
by nic już w świat nie poszło.

Na rusztowanie!
zadudniły deski posępną odpowiedzią.

Pętla z pustki opadła
na gardziel zakrzepłą ,
i z nią stężała w brąz.

Wyroku słowa wiatr porwał,
poszarpał
i rzucił za kuchnią na śmietnik!

Przestrzeń runęła olśnieniem.
Polska!
Nie zginęła!
— — — — — — — — —
Niósł ją
jak chleb,
pachniała mu
jak wiosna
— i odszedł,
zawisnął
w jesieni.

Oświęcim, wrzesień 44
JAN MARIA GISGES

* * *

będę
gorącą falą krwi
zmyje wschód słońca
szary strup grobu
i będę wolny od ziemi
grobu nie znajdzie nikt
w melancholii będę
wbitej w blachę nieba
rudą miedzią księżyca
w rtęciowym płaczu błyskawic
spadających gwiazd
w łzach deszczu
w ciszy nocy
siostry
przemijających niespokojnym smutkiem
wieczorów
z spieczonych ust ziemi
trysnę krwawą ropą
zachodu
nie w jednej trumnie całe życie zastygnie
w śmierć jak w pomnik
będę
wtopiony w czas i przestrzeń
zwinięty w jasny całun nieba
jak w zdobyty sztandar.

W. L. BRUDZIŃSKI

OPŁATEK KRWI

Nie mogę przełknąć białego opłatka;
uwiązł mi w gardle roztrzaskaną kulą —
niby rzucona nad przepaścią kładka
waląc się bólem.
Myśli szalone kręgiem roją,
przyszłość trzepocą smutkiem łzy —
czy to moc dziejów się rozdarła —
czy to myśl twoja — niewiadomy Ty?
Rzuconam w łachman stary
na stół odwiecznych, wigilijnych świateł,
w rękach dygoce czar ofiary:
biały opłatek.
I Ty z opłatkiem k'nam przychodzisz?
miłości pełne serce masz?
Królu pokoju, co się rodzisz —
kamieniem wojny bijesz w twarz?!

— — — — — — — — — —

Świat broczy krwią.
Niema bliskich.

— — — — — — — — — —

Ciśnie się na wargi wszystko
jak bunt.
Chcę pięść ku Tobie wznieść
i łkać u Twoich stóp — —
Mówią, żeś treść,
żeś Bóg...
O Niepojęty — —
miast kolędowych hymnów glorią
białych i cichych —
kroplami krwi historia
łka w kielichy.
Obłudnym śmiechem błogosławiąc
szczęścia opłatek —
podajesz hostię zamienioną
na krwawy wiatyk.

1943 r.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

POWOJNIE

Cóż powiem swemu synowi, gdy mię o młodość zapyta,
Co powiem mu? Nie ma mitów i bogów w Olimpie nie ma,—
W okowach zmarł Prometeusz, centaurów nie grzmią kopyta,
Krew, kłamstwo i koszmar szary — oto młodości mej temat!

Budziłem się w mrocznych lasach, wśród drutów rosłem kolczastych,
Wzwyż się prężyłem ku rzeczom pięknym a niepotrzebnym;
I stała się moją dusza wilcza, a rym — kańciasty,
I ukochałem ból ziemi — jak ongiś swój lot podniebny.

Na młodość moją się zwalił tysiącem tonn, miliardem,
Żelaza potop i ognia. Radości moje zdruzgotał
Czołgów mrukliwy pochód, dział koła pancerne, twarde
I wiary moje zachwiała gnijąca w bagnie piechota...

A przeciem wszystko to przeżył! Mocna jest pierś człowieka.
Jak górski kwiat nad otchłanią, dusza na nowo zakwita...
Tylko czasami po nocach złe echo dzwoni z daleka, —
Więc... co odpowiem synowi, gdy mnie o młodość zapyta?

1945 r. ERNEST PETRAITIS

PRZEGLĄD POEZYJ

Andrzej Nowicki: Podróż do świętej ziemi, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" 1945 — Jerzy Lau: U płomienia. Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik" Kraków 1945 — Roman Sadowski: Życie — naprzeciw. Z zasiłku Resortu Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego m. st. Warszawy 1945 — Jan Huszcza: Pamiętnik liryczny. Nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich. Lublin 1945. —

Jest rok 1920 czy 21. Sięgamy po modnego „Skamandra" z amorkami i pegazami Gronowskiego na okładkach. Przerzucamy kartki. Natrafiamy na piękny poemat „Ślad cherubina". Jakaż czarująca „podróż fantastyczna", której przewodzi „Kapitan Dalekiej Żeglugi". Oddajemy się czarowi słów nieważkich jak motyle i kołysani rytmem pieśni widzimy „morze, niebo nad nim — jak dwie cisze" i czujemy, jak „błękitu — poda cisza ciszy — pocałunek." Obłoki, wiatr, cykanie serca — zegara, polna Matka Boska, wierzby, żyto — oto rekwizyty tej ślicznej alegorycznej podróży. Opisał ją prawdziwy poeta, który wszystko ogląda przez pryzmat poezji, dla którego „obłoki nawet płyną wierszem o obłokach". Przenośnie bardzo nieraz świeże i odkrywcze, jak „księżyc smyczkami powiódł po skrzypiącym sitowiu" albo „gwiazdy przeciekające poprzez nocy tonie". Te „nocne sekrety" i „płaszcz księżyca" to zapewne wpływ Przysieckiego, mistrza tych nastrojów, którego wiersze figurują tu w sąsiedztwie; łatwość przerzucania się w poemacie od króciutkich zwiewnych sześciosylabowców do potoczystych jambów trzynastozgłos-

kowca przypomina może „Paradę" Słonimskiego, a rytmika IV części utworu — Tuwima. Ale już w szóstym fragmencie („Nie chodź, dziewczyno, do miasta., Miasto niedobre dla dziewczyn. Pójdziesz — nie wrócisz. Potem już nigdy Nikt z tobą się nie zaręczy") wnosi poeta w rytmice i nastroju coś zupełnie nowego, nie znanego kolegom z sąsiednich stronic, co dopiero może po piętnastu latach zastosuje jakiś Gałczyński. Ale te zapożyczenia i wzajemne filiacje tak są właściwe wczesnemu okresowi „Skamandra", że wcale u poety nie rażą. Jeśli jeszcze dodać niezwykłość asonansów: otwórz — podróż, odlot — modląc, nerwy - perły, namysł — zawisł, śmiało można stwierdzić, że autor poematu nie przynosi ujmy Tuwimowi, Wierzyńskiemu, Słonimskiemu i słusznie się tu znalazł wśród plejady skamandrytów. Ale co to, co znaczą w „Śladzie cherubina" te zagadkowe słowa: „Miastu, któregom nie bronił, którego już nie poznacie, Rzucam na bruk moich wierszy nieskładnie złożony pacierz"? Ach, tak! Budzimy się ze snu i czytamy na okładce: rok wydania — 1945. Ta czarodziejska, fantastyczna podróż była tylko drogą „fanatycznego pielgrzyma" do „świętej ziemi", która skrwawiona legła pod butem barbarzyńcy. Tęsknota żarła, więc snuło się w obozie niemieckim urocze zwrotki o zakamarkach Starego Miasta, nieraz prawdziwie piękne, godne współzawodniczyć z or-otowskimi, czasem pełne wdzięku, jak „Złota puszka" — a że nad kartką przy ich tworzeniu unosiło się tchnienie ulubionych poetów, czy można się dziwić? My dzisiaj czytamy te łatwe, ładne wiersze z przyjemnością i pewnym rozrzewnieniem, jakie towarzyszyć zwykło zetknięciu się ze staroświecczyzną. I myślimy sobie: gdyby Nowicki zaczął pisać w r. 1921, byłby w owym czasie jednym z czołowych poetów (choć wytkniemy mu rusycyzmy „nie muza a tylko rzemiosło", „nie po barok a po zapach jabłek" — po polsku powinno być: *lecz)*. A poetą jest bezsprzecznie, powinien tylko wyzwolić się z magicznego kręgu „Skamandra", co nie znaczy, by miał ulec fetyszowi innego maga — Przybosia.

A urok tego maga jest wielki i dla debiutantów niebezpieczny. Nieświadomie i bezwiednie ulegają jego wpływowi, a technika obrazowania. Przybosia jest tak charakterystyczna, że od razu ją można wytropić. Nie ustrzegł się tego Jerzy Lau w swoim interesującym, bohaterstwem walki owianym zbiorku „U płomienia". Gdy czytamy bodaj najpiękniejszy wiersz jego „Cieniem za drzewem stoi" i napotykamy tam takie zdanie: „Gdy strzelają — na wierzchołkach cietrzewi się słońce — i gubi różowe pióra — za las", od razu odgadujemy jego rodowód. Tak samo i gdzie indziej: „kamienuje powietrze — salwami ścięte", „oset wybuchu — chwiał się — na łodydze wiatru", „wybuch granatu owocuje". W ogóle rodzicami chrzestnymi książeczki Laua są Przyboś i Czechowicz. Aurę tego ostatniego wyczuwamy w takich obrazach: „Wieczór dzwoni o mosiężne brzegi — kobiety piorą chusty — z rzeki wyciągają dzwony pożogi", albo „Wstanie, wstanie — sternik strun — w łodzi zorzorunej", „aurigo wieczornych bitew — napinaj kolorowy łuk" lub „olszyna brodzi w rudej chustce". Pięknie pomyślany jest wiersz „20 rozstrzelanym na Modrzejówce" z finałem o „modlitwie orania" i „słońca promienistym siewniku". Oryginalna jest koncepcja „Panta rhei" z tą wodą i młynem, w której widać całą skrwawioną rzeczywistość Polski (przypomina się wróżba sienkiewiczowskiej Horpyny). „U płomienia",

wodą i młynem, w której widać całą skrwawioną rzeczywistość Polski

„Polegli", „Ponad miastem" i „Twarz Boga" to obok wspomnianego „Cieniem za drzewem stoi" chyba najmocniejsze pozycje zbiorku, kulminujące zwłaszcza w zakończeniach (w „Poległych" — „A spoczną w zatokach — gdzie chłodno — od gwiazd", w „Ponad miastem" — „A gwiazda spadając — zostawia zapach lotu — pokoleniom", w „Twarzy Boga" — „A wojna pokryta rdzą — jest w składzie starego żelaza — w którym mój syn — szuka jednej brakującej kości"). Świetny jest ustęp tego ostatniego wiersza o człowieku, „kóry leży jak kora — odłupana od życia — tuż obok zamierzonej drogi". To już osiągnięcia zupełnie samodzielne, pozwalające rokować autorowi „U płomienia" jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Gdyby tylko Lau ustrzegł się nadużywania pewnej charakterystycznej cechy swej metaforyki, cechy przechodzącej wprost w manierę. Mam na myśli jego szczególne upodobanie do przenośni rzeczownikowych przy rzeczownikach w dopełniaczu. Exempla: przyroda — „strumień wiatru", „fala wiatru", „pochodnia wiatru", „strąk powietrza", „grudy chmur", „karpie chmur" (b. wynalazcze zresztą w kontekście), „kolejna obłoków", „powoje obłoków", „flakon promieni", „struny blasku", „brony błyskawic", „rogacz błyskawic", „prąd gwiazd", „ryby śniegu", „muszla brzegu", „muszla nocy" (sugestywne), „bażanty drzew", „organki kwiatów", „naręcze chłodu" (piękne) itd.; człowiek — „pnie ciał", „cegła twarzy", „łopaty nóg", „łuczywo palców", „sen włosów", „manierki ran" itd.; głos — „mazur zdań", „szczapy słów" (bardzo ładne zresztą i celowe w kontekście), „wiadro głosu", „oset wybuchu", „drabiny huku" itd. itd. Tego typu przenośni naliczyliśmy w zbiorku liczącym 12 wierszy ponad 70! A nie wszystkie celowe.

„Życie — naprzeciw" Romana Sadowskiego ma założenie ambitne. Świadczy o nim motto na wstępie książki: „Bohaterowie Warszawy umieli walczyć, bohaterowie Warszawy będą umieli żyć dla Polski" (słowa Stanisława Mikołajczyka). Gdy Lau jest piewcą raczej Polski „leśnej", Sadowski, operując zresztą innymi środkami ekspresji, składa w swych wierszach hołd heroizmowi walczącej Warszawy. W prologu poeta oświadcza: „nie wiem, czy jeszcze umiem pisać... nie wiem, czy jeszcze umiem myśleć... nie wiem, czy jeszcze umiem kochać... lecz wiem, że umiem nienawidzić, nienawiść siać seriami kul, pierś mą przywalił krwawy order: ból". Nienawiści, tak obcej duszy słowiańskiej, w wierszach mało, ale ból przytłacza większość. Snuje się przed naszymi oczami gehenna męczeńskiej Warszawy — samoloty nieprzyjacielskie i bomby, egzekucje („Za co?" — „że pola pachną skibą — woraną w chlebny ugór — bociany w łąkach siedzą — noc wprzęga się do pługów — że grusza przed chałupą — w bielone patrzy izby" itd., — a więc za umiłowanie pracy ,spokoju, natury, a może właśnie za słabość i sielankowość?), zamachy na wrogów narodu, wreszcie powstanie. Wstrząsające obrazy ociekające krwią i szaleństwem przerwie czasami dyskretny, smutny erotyk („Chwila", „Czereśnie"), elegijna zaduma nad „martwym i zasypanym" lub wybuch ironii pod adresem tych, u których „wolność jeździ autem — ulice strzelają kasztanami — akacje pachną o miłości", gdy „u nas — wolność — chodzi na piechotę — ulice strzelają — trzaskiem rozwalanych ścian — łamanych żeber konstrukcji — akacje pachną spalenizną". Zbiorek kończy mocny akord zwycięstwa („Berlin wzięty" i „Pokój"). Obrazowanie Sadowskiego os-

cyluje między tradycjonalizmem a awangardą. Jest i Przyboś, ale w małych dawkach („zapalnik serca trzymasz w dłoni", „błaganiem próżna i daremna — dłoń — jak niewypał"). Z utworów zasługują na wyróżnienie „Śnieg", fragmenty „Kopernika" (Ustęp o globusie), „Trwanie" (zwłaszcza zakończenie wiersza „i pójdzie twój syn — tobą") i wstrząsająca w swej wymownej prostocie „Wiosna 1945 r." Z całego zbiorku bije charakterystyczny, owiany duchem niepodległej Warszawy optymizm. „Życie — naprzeciw"!

Wojna ostatnia rozproszyła ludzi po świecie. Chyba nie ma zakątka, dokąd by nie dotarła stopa polska. A że w diasporze byli lub tworzyli się poeci, stąd czeka nas zalew nowej egzotycznej tematyki. Już Słobodnik daje nam przedsmak tego w swych fergańskich wierszach, które niewątpliwie złożą się na oddzielny zbiorek; egzotycznie pobrzmiewają niektóre utwory Putramenta i Pasternaka; Broniewski obdarzy nas poezjami z Palestyny. I jak kiedyś kataklizm dziejowy zrodził sybirskie i chińskie opowieści Szymańskiego i Sieroszewskiego, tak dziś bujną falą rozleje się poezja dalekich wysp i kontynentów. Tylko czekać na autentycznych piewców fiordów norweskich i Libii. W tomiku Huszczy, którego wojna zapędziła do Kazachstanu, znajdujemy również aurę egzotyczną. Dominującym motywem tego szczupłego lecz ważkiego zbiorku są wspomnienia wczesnej młodości i tęsknota za ojczyzną. W klarownych klasycyzujących wierszach znajduje ona nieraz przejmujący wyraz. Cóż z tego, że Irtysz jest piękny, gdy w oczach majaczą fale Wisły i Warty („Dla inwokacji")? Cóż stąd, że nieznany kraj urzeka urokiem swej inności, gdy nie ma w nim „brzozy nad stawem zamyślonej". („Notatki")! I umierająca na obczyźnie Julia „śmierć miała nielekką": „W głosie konającej — nazwa wioski rodzinnej dogasała długo, — z pościeli się zrywała, żeby iść na ugór — i żeby jej do ręki dali wiśni gałąź, — żeby wpuścić przez okno kwiat jabłoni biały, — żeby malwy na wiosnę zasiano w ogródku..." Czasem, gdy bezsilna prośba: „Drogo piaszczysta śniegiem przysypana, biegnąca na Zachód... wyprowadź nas, zmiłuj się nad nami" — nazbyt długo pozostaje bez odpowiedzi, gdy zbyt natrętnie „powraca żal i czas i pamięć" o tej Mekce „gdzie — matki ręką wieczór zapalał lampę, — chleb na stół podając i mleko" („Modlitwa o powrót"), w upalny dzień sierpniowy nawiedzi poetę myśl o „wielkiej porze łaski", o „owym chłodzie łagodnym", „gdy ręce przytuli trumny wieko" („Upał"). Ale to są rzadkie chwile słabości, bo oto jest ostoją, jest pewnik powrotu: „na spotkanie polskiej ziemi — będzie wymarsz zbrojnych chłopców". I smutna gorzka wiedza, że dla „synów i córek"..., „żeby gdy burza przejdzie, mogli żyć bez winy, — architekci przyszłości, konstruktorzy szczęścia, — w świat idący z uśmiechem bez miecza i pięści" („Apostrofa"), „żeby książki i nuty ocalić — a między ludami przyjaźń — trzeba zabijać" („Rocznik. 1923").

Do interesującego zbiorku Huszczy wkradło się niepotrzebnie kilka błędów językowych. „W miesiącu sierpniu" ani tym bardziej „w sierpniu miesiącu" (w awgustie miesiacie) to nie po polsku. Tak samo nasz pies nie „hauknie" (choć to może onomatopeicznie). Niezrozumiała jest składnia „o tem (?) wciąż martwiały" (chyba od tego). A już o pomstę do nieba wołają niemieckie „butterbroty w teczkach".

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

NIEBO BEZ GWIAZD

(Fragment utworu dramatycznego)

SZYMON Wszystko to przejdzie... zamkniemy się w małym przedziale pociągu, pędzącym w inny, cieplejszy kraj, będziesz widziała tyle różnych nowych i ciekawych rzeczy... zapomnisz o wszystkich tutejszych przeżyciach...

ELŻBIETA Szymonie, ja stąd nie odejdę.

SZYMON Chcesz z nim zostać? A co będzie ze mną? Co mi każesz robić?

ELŻBIETA O, ja nie wiem... nie wiem...

SZYMON Będę robił to, co każesz... pomyśl, ja czekam...

ELŻBIETA Dzisiaj nie, Szymku. Czyż nie zdajesz sobie sprawy, co to dla mnie znaczy?

SZYMON Tyle razy mówiłaś już: Dzisiaj nie. Nie rozumiem cię, Elżbieto.

ELŻBIETA Bo żebyś ty odczuł.

SZYMON Lepiej wcześniej z tym skończyć.

ELŻBIETA Nie myślałam, że przyjdziesz dzisiaj.

SZYMON Czyż mógłbym znowu cały dzień nie widzieć ciebie?

ELŻBIETA Jan przed chwilą wyszedł taki pogodny.

SZYMON (spaceruje po pokoju) Spotkałem go, mówił, że jesteś sama, Elżbieto...

ELŻBIETA Jan jest wspaniały i kochany.

SZYMON Wiem.

ELŻBIETA Szymku, ja naprawdę nie mogę odejść.

SZYMON Pomyśl, czy jest inne wyjście?

ELŻBIETA To jest zbrodnia, o Boże... on taki dla mnie dobry....

SZYMON Czyż myślisz, że ja go nie żałuję.

ELŻBIETA On się tak o ciebie troszczył, on ciebie tak pielęgnował w chorobie.

SZYMON Gdyby nie on, nie żyłbym, wiem.

ELŻBIETA Oboje zawdzięczamy mu życie... i teraz...

SZYMON Elżbieto, to go nie minie, więc im to się prędzej stanie, tym lepiej dla nas wszystkich.

ELŻBIETA Ale ty nie wiesz... ach ty tego nie odczujesz, ile on mi dzisiaj okazał serca...

SZYMON Czy więcej niż ja?... I czy to teraz jest ważne.... Przecież postanowiliśmy ostatecznie...

ELŻBIETA I taki jak dziecko naiwny... on się nic nie domyśla... o nic nie posądza....

SZYMON Elżbieto, pomyśl rozsądnie.

ELŻBIETA Nie mogę nic myśleć.

SZYMON Więc pójdziemy stąd dziś... zaraz...

ELŻBIETA O nie, nie, za nic na świecie... zastanów się... tak znienacka... nie, nie...

SZYMON Więc wolisz, żebyśmy mu powiedzieli?

ELŻBIETA O nie, to wykluczone, tego nie można robić.

SZYMON Elżbieto, zaklinam cię na wszystko, co nas łączy, odejdźmy stąd.

ELŻBIETA Wiem, wiem, ale przecież zrozum mnie.

SZYMON Ja nie mogę mu patrzeć w oczy i dziwię się tobie, jak ty możesz.

ELŻBIETA Mnie jest go tak strasznie żal, tak żal.

SZYMON Zapomnisz o nim, Elżbieto, będę się starał, żebyś zapomniała.

ELŻBIETA Nigdy, nigdy.

(Jan staje we drzwiach)

SZYMON Otoczę cię opieką... będę cię piastował, jak dziecko, będę kochał, jak nikt dotąd nie kochał, będę cię nosił na rękach... dam ci wszystko... wszystko, co zechcecz.. zapomnisz o nim...

ELŻBIETA Nigdy nie zapomnę jego oczu patrzących tak wiernie z taką ufnością... zawsze będę pamiętała tę jego troskę o mój sosnowy dom... żeby mi było wygodnie, żebym się cieszyła... i powiedział mi jeszcze, że w każdym drobiazgu, przygotowanym dla mnie, znajdę cząstkę jego serca....

SZYMON Ja mu z całej duszy współczuję, ale przecież, Elżbieto, to co jest między nami....

ELŻBIETA Tak, nie mogę go dłużej zwodzić... oszukiwać... ale czy odejście moje nie będzie większym ciosem dla niego....

SZYMON O nie, napewno nie, gdybym się dowiedział, będąc na miejscu Jana, o twojej zdradzie, zabiłbym cię... wolałbym śmierć twoją niż godzić się z myślą, że należysz do innego...

ELŻBIETA Jan jest taki inny, niż ty.

SZYMON Jest przedewszystkim mężczyzną.

ELŻBIETA Gdybym mu powiedziała szczerze o wszystkim... prosiła, żeby darował i zrozumiał, że ja z tobą...

SZYMON Elżbieto, odrzuć te pomysły... może być za późno... wiem lepiej, co zrobiłby w tym wypadku...

ELŻBIETA Gdyby mi go tak nie było żal.

SZYMON Opanuj się i zdecyduj.

ELŻBIETA Co on będzie robił sam?

SZYMON Wszystko z namysłem przygotowałem, walizki nawet czekają na stacji.

ELŻBIETA Będzie przeklinał czarnych niewdzięczników... o Boże, Boże... (słychać kaszel INŻYNIERA i po chwili wchodzi, jest zmieniony, blady).

INŻYNIER No, to już jedna sprawa załatwiona, Elżbieto, jeszcze tylko z Wacławem wyjdę już na krótko i odpocznę.

(ELŻBIETA i SZYMON milczą)

JADWIGA RADLIŃSKA

BEZIMIENNY

Na skwerku przy zbiegu ulic dawno już zatarto ślady mogił z roku trzydziestego dziewiątego.. W okaleczałym i pośpiesznie zaplombowanym narożnym gmachu prosperuje już cukiernia z orkiestrą, cichy bar i kwiaciarnia strojna w pogrzebowe wieńce. Rozgadane przekupki pilnują pękatych koszy z pieczywem, chłopcy nawołują do papierosów, dzieci spacerują po słońcu. W kilka stron przepływa fala ludzka.

Nagle trzy ostre strzały rewolwerowe. Popłoch.

Z gzymsów poderwały się gołębie.

Mężczyzna w ciemnym ubraniu biegnie na ukos przez jezdnię i przed samą kwiaciarnią wali się na wznak.

Esman wkłada do pokrowca broń. Trąca nogą upolowaną zwierzynę. Nachyla się, wydziera z kieszeni rannego papiery, przegląda.

Na opustoszałym odcinku ulicy wyrastają trzej żandarmi, salutują. Esman wydaje im jakiś rozkaz. Pewno sprowadzą karetkę. Co?. O Jezu... Ciężkie buciska zgrzytają w śmiertelnej ciszy po asfalcie... Rozpylacze pochylone....

Ileż męki musi być w oczach człowieka?! Chce się zasłonić rozpaczliwym gestem, ale tylko skręca się kurczowo na bok. Żołdak wpuszcza bezbronnemu serię wprost w brzuch... Gruchot maszyny wymiótł ludzi z pobliskich ulic.

Esman zapalił cygaro, wszedł do baru.

Jeden z żandarmów zostaje na posterunku.

Spluwa raz po raz.

Przechodnie nieśmiało , potem coraz liczniej wpływają w ulicę; żołnierz macha ręką, aby omijali narożnik, wreszcie znudzony długim postojem, znika.

Dalej nic się nie dzieje. Nikt trupa nie zabiera.

Zda się, że na wieki już wrośnie w asfalt ciemny, nikły, sponiewierany kształt człowieczy.

Czerwony strumyk ścieka po kredowej twarzy. Ktoś litościwy przykrył tę twarz gazetą.

Godziny mijają.

O, czy nikt nie widzi, że zmięty arkusz bibuły nasiąkniętej krwią wznosi się nad głową zabitego jak biało-czerwony sztandar?!

FONETYKA NOCY

Zamrożony księżyc oblewa jaskrawym światłem okaleczałe bloki oficyn: w kamienicy i na oślepłym podwórzu tymczasowy spokój. Czuwam. W jasnej ramie łóżka często budzone dziecko pojękuje przez sen. Nad nami lokator piątego piętra spaceruje, jak co noc, tam i z powrotem wzdłuż pokoju. Coś brzęczy, piszczy, skwierczy w rurach łazienki. Za oknem, na dalszym planie nieustanna, spowszedniała już kanonadą z ghetta. Czasem silniejsza eksplozja spłynie dreszczem po szybach i po nerwach. Świdruje uszy ostry zgrzyt szyn tramwajowych, gwizd lokomotyw, różnorodne sygnały. Z tej miesza-

niny wyrywa się, podświadomie wyczekiwany, bolesny ryk syreny alarmowej; wznosi się i opada, falą krwi do serca uderza.

Od razu trzaskanie drzwi w mieszkaniach, tupot nóg po schodach, gorliwy gong na podwórzu. Chwytam w ramiona oporne, rozpłakane dziecko, znoszę na dół. Prędzej — prędzej — już pukają zenitówki, coraz wyraźniej buczą ptaki śmierci, brzęczą rozdygotane szyby — —

— Lecą! Już nad nami!...

— O Matko Przenajświętsza!

— Świaatło! Zgasić latarki do cholery!!

Opieram się o zwilgłą ścianę grobowej sieni, wpinam kurczowo palce w żebra dziecka, przytulam twarz jak najściślej do rozgrzanej główki.

Sekundy dzielą od świstu do wybuchu — wieki dzielą!

Pioruny bomb, piekielne grzmoty detonacji, wstrząsy od fundamentów, miot gruzu i miału.

Na suchych, bez tchu, wargach mdleją słowa modlitwy. Chce się zebrać resztki sił, aby wyjść naprzeciw śmierci: — synku, może dopiero tam spotkamy ojca, który nie wrócił z wojny — —

Zajadłe ujadanie armat. Łomot kruszonych domów. Bombowce warczą, krążą, nękają.

Ktoś w sieni łka histerycznie, ktoś zanosi się dławiącym kaszlem.

Straszne godziny są, trwają, gnębią, nie mijają!!

Minęły przecież.

Ucichło. Ulżyło. Powrót do życia na tymczasem. Jeszcze dziś nie my.

Ulicą pędzi zwariowany, triumfujący wyjec z odwołaniem. Na podwórzu krzepiąca wrzawa i już sensacyjne nowiny.

— Pod dwudziestym od góry do dołu!

— Siedem osób w bramie rozniosło — —

— Pali się na Wilczej i na Piusa!

Z wysiłkiem wznoszę na piętra swój ciężar, układam w wystygłą pościel. Siadam na zwykłym miejscu, opieram czoło o kant łóżeczka. Przed oczami wirują żółte koła zmęczenia.

Po trochu uspokaja się tumult na ulicy. Szczeliną w czarnej zasłonie okna nie wciska się już refleks pożaru. Zamilkły dzwonki straży ogniowej. I znów potęgują się odgłosy męczeńskiej walki w ghetto. Zasypia podwórze i kamienica. Zwolna ucisza się tętno w skroniach, zapadam w odrętwienie. Ale wyćwiczony słuch zostaje na straży; i oto za ileś tam czasu łowi szum opon po asfalcie — — pomruk głosów. — — No tak. Niebo ucichło, więc teraz straszy zima. Już łomotanie do bram, narastający gwar — — Zawodzenie kobiet, skomlenie dzieci — —

Czuję każdym nerwem: wyciągają ludzi na mróz, pakują do ciężarówek — szarpią — popychają kolbami — Wywożą do ghetta, wywożą na ubicie ——Akcja przesuwa się z domu do domu, według adresów, według usłużnej informacji.

Z przytłumionej, bolesnej wrzawy wydobywa się rozpaczliwy okrzyk mężczyzny:

— Lassen sie mich! Lassen sie mich! Ich habe kleine Kinder!!.

Warkot motoru, trzask drzwiczek. Zbiorowy jęk pozostałych kobiet. Ponad wszystko wzbija się uparty krzyk zaszczutego człowieka, który wierzy jeszcze w litość oprawców:

— Um Gottes Lieb — —meine Kinder!!

JADWIGA KORCZAKOWSKA

SŁOWACKI POETA WOLNOŚCI I SPRAWIEDLIWOŚCI

Mało jest w dziejach literatury tak niezwykłych postaci jaką był zapomniany już dziś a tuż przed wojną wspaniałym bibliofilskim wydaniem nieznanych utworów przypomniany poeta słowacki Janko Král (1822—1876). O życiu jego wiemy mało, a to co wiemy jest tak dziwne i niesamowite, prawda tak tu się splata z fantazją, że nie wiemy, gdzie się kończy rzeczywistość a rozpoczyna poezja, poezja najczystszego romantyzmu. Pochodził Janko Král z Liptowa, z tej twardej ziemi u stóp Tatr, gdzie w skale trzeba orać, a kamienie się rodzą jakbyś je zasiał. Ze swego dzieciństwa wyniósł Król jakiś uraz, który wycisnął na nim niezatarte piętno przez całe życie; mówią, że było to wspomnienie z domu rodzinnego, gdzie ojciec Króla bił ukochaną przez małego Janka matkę, co przepoiło go jakąś goryczą przez całe życie.

Młodego studenta na liceum bratysławskim omionęło tchnienie romantyzmu, w Słowacji zaprawionego własnym słowackim narodowym charakterem przez szlachetną postać Ludewita Sztura, który młodzieńczemu talentowi Króla przepowiadał wielką przyszłość. Romantyzm szturowców — na który tak silnie oddziaływał Mickiewicz czy Słowacki — splatał tu się z rewolucyjno-narodowym tchnieniem młodego narodu, rwącego się do swobody. A gdy przyszła „wiosna ludów" 1848 r. romantycy z bratysławskiego kółka szturowego stanęli z bronią w ręku, w pierwszym słowackim porywie rewolucyjnym. Znalazł się wśród nich i Janko Král próbując w rewolucyjnej atmosferze znaleźć zaspokojenie swego wiecznego głodu czegoś niezwykłego i ujście dla swego bujnego temperamentu.

Rok 1848 załamał jednak dalszą linię życiową Janka Króla. Słońce, które zabłysło przed nim, gdy jako bohater narodowy wychodził z więzienia madziarskiego — skąd go uwolniła specjalna interwencja chorwackiego bana Jelaczycza — wnet zgasło. Zaczął Król coraz bardziej odsuwać się od ludzi, stawał się coraz bardziej tajemniczy, skryty, ujawniała się zmienna jego natura, serdeczność zaczęła przechodzić w cynizm, w gorycz. Tak jak nie wyniósł szczęścia z domu rodzinnego, tak też nie zaznał go i w małżeństwie. Do otaczającego go świata, świata drobnomieszczańskiego, wśród którego żył jako skromny adwokat prowincjonalny, odczuwał coraz większą niechęć przechodzącą w pogardę. Naprzeciw siebie — wbrew marzeniom romantyka z czasów licealnych — widział narastający świat mieszczańskiej moralności, świat materializmu i kapitału, niesprawiedliwości społecz-

nych i przemocy, świat, którym się brzydził i od którego musiał uciekać. Ucieka więc Král — jako dziecko i wychowanek swego okresu — do prostego ludu. Tu mu się zdaje, że nalazł to, czego szukał, świat inny niż cztery ściany adwokackiej kancelarii, plotki małomiasteczkowe i szare kłopoty dnia codziennego, świat, jakiego szukał w swej wyobraźni romantyka. I oto ten poeta, prawnik, rewolucjonista brata się teraz z pastuchami, podsłuchując ich piosenek, przebiega tajemnicze leśne ostępy i połoniny Karpat, włóczy się aż hen po Besarabię w towarzystwie żebraków, biedaków, opryszków, łazików, juhasów, cyganów, ludzi bez domu, zajęcia, czy ojczyzny, prowadzi z nimi w nocy przy ognisku w lesie długie gawędy, recytuje im Szekspira, którego znał ponoć na pamięć, toczy z nimi dyskusje o przyszłym świecie wyzwolenia z wszelkiej biedy, nędzy i ucisku, śpiewając z nimi piosenki o dawnych czasach, o Janosiku, o okrutnych panach i szlachetnych zbójnikach. Trawi go wciąż nieustanna tęsknota do czegoś wielkiego i niesamowitego, wieczny niepokój, poszukiwanie jakiegoś prawdziwego romantyzmu; szuka go więc w atmosferze zbójnickiej, w której widzi jakby coś z tradycji wolnościowej, z epiki bohaterskiej dawnych „hornich chlapcov".

Romantyczny, na Byronie, Shelley'u i Słowackim ukształtowany ideał jednostki osamotnionej, cierpiącej, odpowiadał właśnie przewrażliwionej naturze Króla. Osamotnienie, cierpienie było dla Króla jakimś ideałem, które przeżywał całą swą silną indywidualnością, usiłując dolę swoją zidentyfikować z losem swego narodu, równie opuszczonego i cierpiącego ucisk polityczny, społeczny i narodowościowy. Tam też w lasach, połoninach, na szczytach Tatr, czy na puszcie węgierskiej, gdzie był sam a czuł się związany ze wszystkimi, gdzie na próżno usiłował rozwikłać dręczące go zagadki wewnętrznej dwoistości, niezgody między własnym marzeniem a rzeczywistością, między projektami a możliwościami, między myślą a wolą („To moje srdce na dvoje sa kál'a — že tužby horia, a vola zahála")[1]) snuł Král wielkie plany braterstwa ludów, wyzwolenia Słowian, marzył o wielkiej burzy „przed którą wszystko musi padnąć", o „jasnej zorzy", która przyjdzie i przed którą ukorzą się wszyscy mocni tego świata, o świecie, gdzieby nie było pana i niewolnika, władcy i poddanego, bogacza ani biednego. Tę niechęć do otaczającego go świata, gdzie jest „noc ciemna, choćbyś dał dukata"[2]) wylewał Král w swych poezjach, które kreślił ot, byle gdzie, urywkami, często je paląc zaraz po napisaniu, nie dbając zupełnie o ich zachowanie, tak jak nie dbał ani o sąd ludzi, o pieniądze, sławę czy stanowisko, zawsze zaniedbany, tajemniczy, skryty i nieufny.

Nie wiele wiemy, co się dalej z nim działo, nie wiemy dokładnie nawet, gdzie umarł, nie udało się odszukać jego grobu, tak jak nikt w Św. Mikułaszu nie umiał nigdy wskazać domu, gdzie się urodził. Przeleciał przez życie słowackie jak meteor, jak cudowne zjawisko i zniknął. A wraz z nim zginęła i lwia część jego niezwykłej twórczości. Ale i te szczątki, które się dochowały, dają nam poznać postać — jak sam siebie w nich przedstawiał — „smutnego Janka", złamanego losem, osamotnionego, wciąż tęskniącego do jakichś niezwykłych przeżyć, romantyka, cygana, „rajzera", rewolucjonisty i bałaganiarza,

co brał stronę maluczkich a na możnych pomstował i od rozkoszy tego świata uciekał do szatry pasterskiej.

Na Boże Narodzenie 1938 r. Macierz Słowacka w Turczańskim Św. Marcinie wydała luksusowe, bibliofilskie wydanie nieznanych a niedawno odszukanych utworów Janka Króla[3]). Z pięknych tych utworów, pieczołowicie — z zachowaniem oryginalnej pisowni słowackiej z poł. XIX w. — wydanych przebija ten sam duch, jaki był we wszystkich dotychczas znanych jego poezjach. Budzi więc Król Słowaków do boju przeciw ciemiężcom, sławi bohaterstwo „szuhajów", opowiada o ptaszkach, co wyleciały spod Krywania w różne strony świata słowiańskiego, z których jeden zaleciał aż nad Wisłę, przepowiada tę wielką chwilę, która musi przyjść („prist' musi co sa stane") a które zerwie wszystkie pęta dla jasnej przyszłości. A wszystko spowite w tę samą nutę melancholii, ten sam smutek, gorycz i pesymizm, to samo poczucie błądzenia po omacku w jakimś ciemnym lochu, to samo poszukiwanie jakiegoś sposobu wyzwolenia od nieśmiertelnych dylematów: zło-dobro, pan-niewolnik, duch i ciało, które tak silnie charakteryzują niecodzienną indywidualność Janka Króla, rewolucjonisty i poety, wolności i sprawiedliwości.

JAN REYCHMAN

* * *

Najdroższa, nocą las — twój szum w uśpieniu słyszy,
w koronach szumisz mu i drzewa w szumie toną,
z wilgocią rannych ros twa ręka sięga w ciszy
do rozespanych gniazd tak ciepłych, jak twe łono.

Tyś cała w rozkołysie, gdy podpowiadasz rzekom
me wiersze, boisz się i kraśny wstyd osłania
ramiona kruche twe i pierś, na którą czekam,
aż dasz ją ustom mym wilgnącym od wyznania.

Ty nie wiesz, nie wiesz snać, jak dręczą niepokoje,
ty nie wiesz, jak-em wciąż powtarzał imię twoje,
że kocham cię jak las, jak cień, co w skrach ogniska

wydłużył nagle się i tobą ku mnie kroczy.
Ach, wiem, że ocknę się i ze snu otrę oczy
i odrodzony znów powstanę ze zwaliska.

(„Zcesti")

JIRZI ORTEN (1919—1941)
z czeskiego spolszczył K. A. Jaworski

---

[1]) Verse, 1847.
[2]) Z wiersza „Vyslobodenie".
[3]) Janko Král, Neznáme básne, Turczański Św. Marcin 1938.

TWARZ ZA SZKŁEM

Kawiarnia „Bellevue" to kraj złoty,
powstały z ciepła, pluszu i fox-trotta,
z okien ma przezroczyste wysokie granice,
które ją oddzielają od mroźnej ulicy.
Dziś jak i co dzień panowie za stołem
zasiedli
dostojni panowie i panie piękne jak kwiaty,
usta przebili uśmiechem, szpilką z
brylantem krawaty
i w cieple, pluszu, szaleństwie muzyki
na oczy wsadzili dzienniki,
by przez te okulary z papieru widzieli,
że świat wesoły i że sami są weseli
w kawiarni „Bellevue".

Kiedy tak tu siedzieli ciepło i czcigodnie
z wyprasowanymi rękami,
zdarzyło się to, co zdarzyć się mogło co dzień,
że do okna szklanego cieniutkiej granicy
przycisnął twarz swą człowiek, co stał
na ulicy,
ni to wyrostek ni mężczyzna już,
i wzrokiem ostrym i chłodnym jak nóż
przeszył witrynę i wbił się w ten przepych,
w kielichy i walczyki, w lustra dla kokietek
w brzuchy i ciepło, w wnętrza portmonetek
i został w nich jak ostry sztylet,
choć oczy te zniknęły już za chwilę.
I wówczas stoły się stały
nagrobkami z marmuru
i spoza nich się trupy trupio uśmiechały
muzyce do wtóru,
z szarego dymu nieśli wieńce
kelnerzy w czerni żałoby,
przed oknem gwar uliczny, nędza i śnieżyca,
za oknem groby
w kawiarni „Bellevue".

JIRZI WOLKER
z czeskiego spolszczył K. A. Jaworski

POGRZEB

to było w palmową niedzielę po nabożeństwie już prawie
gdy stary dziekan ze stopni do syna hosanna rzecze
konie przywiozły w słońcu po młodej wiosennej trawie
jakoweś ciałko człowiecze

sierotka którą teraz parobek w rękach swych ważył
to śliczne dziecko w trumience to ta pastuszka mała
co co dzień z rana w oborze na miotłę na gospodarza
cichutko się użalała

cielątko becząc straszliwie i przeżuwając kurz drogi
już od wrót chlewa za wozem na pogrzeb dzieciątka bieży
jak siostra siostry umarłej bez chrztu bez świętości błogiej
ku starej kościelnej wieży

u niskich drzwi kościoła zaskoczą bydlątko razy
przekleństwa zbożnych chrześcijan których tu klęczy
gromada
bydlątko milczy na próżno patrzy na święte obrazy
Chrystusa o pomoc błaga

to było w palmową niedzielę po nabożeństwie już prawie
gdy stary dziekan ze stopni ludowi hosanna głosił
a biedne cielę umarło w boleściach umarło na trawie
ze wzrokiem który przed końcem o zmiłowanie prosił

pastuszko nie ma dość męki aby spaliła się rana
którą z tej ziemskiej miłości w grobie posępnym dziś
święcim
tę miłość wspomnij raz chociaż gdy będzie tam w raju
przez Pana
sądzony człowiek nad bydlęciem

VITIEZSLAV NEZVAL
z czeskiego spolszczył K. A. Jaworski

ADWENT

I chodził anioł boży
w ten długi smutny adwent po Czechach.
Na organach mu wiatry grały,
drzwi się przed nim same otwierały,
rozbrzmiewały niewidzialne chóry:
Rosę spuśćcie, niebiosa, z góry.

I mówił anioł boży,
gdy wszedł do domu: Dzielny bądź i wierz.
I dzieciom twarze zalśniły
od zorzy onej radością, siłą;
matkom i ojcom z piersi spadła zmora.
Alleluja — brzmiał chorał.

Tak błogosławił anioł boży
i krzepił słabych: Dzielny bądź i wierz.
Bowiem przed losem i przed wiernością
najwyższa cnota jest wiarą, dzielnością.
Do tego tylko, kto mocno wierzy,
Zaprawdę zbawcze jutro należy.

KAREL TOMAN
z czeskiego przełożył **Stefan Orczyk**

SKRUCHA

Trochę jej się trzęsły liczka,
mała była katoliczka.
A ja się patrzyłem na nią
dla szóstego przykazania.

Rzekłem do niej: „Będę księdzem",
za bzu krzak się skryjmy prędzej,
zanim jednak będę księdzem,
jedną chwilkę z tobą spędzę.

Śmialiśmy się z tego razem,
było mokro za przełazem,
od cegielni złe psy wyły,
widać nam nie rade były.

Że tak sami nocą chodzim,
że się tak bawimy, młodzi,
w takie bardzo ważne rzeczy,
to psy złościć musi przecież.

FRANIA SZRAMEK
z czeskiego przełożył **Stefan Orczyk**

PIEŚŃ O POGRZEBIE SAMOBÓJCY

Na czarnej trumnie łzy okrągłe
bębnią ponure swe requiem.

Nie budźcie, łzy, go, nie wołajcie,
umarły rad jest, że nie żyje.

Za łzą łza pada, siwe kulki,
chcą dograć smutne swe requiem.

Nie bijcie, kulki ołowiane,
ołów mordercą jest, zabija.

Nie płaczcie, łzy, już, łzy okrągłe,
łzy niby kulki ołowiane.

Wszak jedna tylko go skrwawiła,
ta jedna w grobu złoży ściany.

LACO NOVOMESKY
ze słowackiego spolszczył K. A. Jaworski

BALLADA O SZCZĘŚCIU

Ślepy mak w policzkach kryła,
a chabry w oczach miała.

A zanim świata nie poznała,
nad drzwiami zawiesiła
żelazną podkowę szczęścia.

Mróz letnie kwiaty kosi.

Żelazne szczęście spadło już z kopyt
rumaków,
już się z sierpem nie schyli nad główkami
maków,
bo teraz pod oczami nosi
zieloną podkowę szczęścia.

LACO NOVOMESKY
ze słowackiego przełożyła Helena Lutycka

w Lublinie

SPOJRZENIE

Kochającemu oczu nie potrzeba.
Kto kocha, sercem tylko swoim patrzy.
Wspaniały kraju, święta moja glebo!
Sercem poznaję cię i sercem głaszczę.

Głębie rozwarła swe przede mną ziemia
i z ich mądrością duch się mój jednoczy.
Nie, oczy — już mym nie jesteście
wzrokiem:
mój wzrok — uczucie, widzę i miłuję,
miłość — me oczy.
Z dolin mi dźwięczy śpiew, śpiew szumi
z łąk
śpiew płynie z nieba, z skib odwiecznych.
A choćbym tysiąc nóg miał, tysiąc rąk,
nie byłbym bardziej
wszechobecny.

Jak Jezus nad jeziora głębią,
tak serce me nad tonią zbóż wędruje,
a fala kłosów z ufnością gołębią
jak miła z miłym z nim się obejmuje.

(„Zrno")

JAN SMREK

ze słowackiego spolszczył **K. A. Jaworski**

PIEŚŃ WCZESNEGO PORANKU

Dziś rano, widzisz, wstałem bardzo w czas,
ledwo na oknie zobaczyłem ptaka,
to było oczom moim pozdrowienie,
a potem głos twój tu doleciał wraz
zza różanego krzaka.

Teraz oboje ku łąkom stąpamy
pod górę w niebios progi.
Ja cię umyślnie puściłem przed siebie,
aby w mym wzroku słodko się kąpały
wysmukłe twoje nogi.

W modrej wyżynie wierna ma prawica
w pasie cię mocno otoczyła
i złota chmura nas spowiła potem.

A z dołu tam, gdzie żółci się pszenica,
dzwonienie kłosów dojrzałych się wlewa
do naszych śmiechów.

Tam w tej dolinie może znajdziem, miłą,
jabłonkę, z której owoc ukąsiłą
pramatka Ewa przed poznaniem grzechu.

(„Zrno")

JAN SMREK

ze słowackiego przełożył Stefan Orczyk

PIEŚŃ

Ognisty szczęścia ptak odleciał
ode mnie już w daleką stronę
i nie wiem dziś, po jakim świecie
niosą go skrzydła rozwichrzone,
czyje go ręce teraz głaszczą
i czyje oczy nim się cieszą,
gdy wzrok mój w niebo próżno patrzy
i na siwiźnie chmur się wiesza.

Obłoczki siwe, chmurki tkliwe,
wy, co w miłości-ście nie skąpe,
powiedzcie, gdzie jest serce moje,
kiedy się w szczęściu znów wykąpie?
Kiedy się usta moje staną
znów śmiechu dzwonkiem metalowym,
którym każdemu dam odpowiedź
i który wszystkim wszystko powie?

Czy mego ptaka tu, żar-ptaka
przypędzi wichrów nawałnica,
aby czerwonym swoim skrzydłem
znów rozpłomienił moje lica,
czy wróci, aby serce moje
w dziobie swym nosił jak w potrzasku
od wschodu słońca do zachodu
i od wieczora aż do brzasku?

(„Božske uzly")

JAN SMREK

ze słowackiego spolszczył K. A. Jaworski

II

Nie przeczuliśmy w jej głosie tęczy
w jej głosie wiersze niby wszechświat
na papierze i na szyi składał zwrotki
spętany nią poeta

Wiesz żem wysławił wieczne niepokoje
niepokoje niby moje usta
których nie mieliście
przy fal przyboju
bowiem morze jest jak góra z samolotu
bowiem góra jest jak otchłań wężów
i wieczne sarn spojrzenie

III

Da w oczach słonko lasu cienie
da w oczach mórz spojrzenie
da w oczach chorą piosnkę
da w oczach piękna troskę
da w oczach moje wargi
da w oczach tęsknot nieme skargi
da w oczach me zuchwalstwo
da w ustach śmiałych zmian sto
da w ustach posmak pieszczot
da w oczach ostry brzeszczot
da kolory najsłodsze
da pieśni me najmłodsze
da piękno drzew wspaniałych
da piękno domów białych
da moją miłość szczerą
da dymek i papieros

V

Skruszony wzrok markizy
biczowanie przed Matką Bolesną
ale kroki Magdaleny
przerywały głębię błękitu
jakżeś tak wytrzymała

Welon się unosił przy Bolesnej
była to chwila gołębic
welon był czarny
welon wszak zasłonił oczy
welon był czarny niby oczy

(„Mlady svadobnik")

RUDOLF DILONG

ze słowackiego przełożyła Helena Lutycka

Nr. 8 „Miesięcznika Krytycznego" (Praga, red. dr. Vaclaw Czerny) został w znacznej części poświęcony pamięci świetnie zapowiadającego się młodego poety Jirzi Ortena, przejechanego przez samochód dokładnie w dwudziestą drugą rocznicę swych urodzin w r. 1941. Redaktor Czerny poświęcił tragicznie zmarłemu poecie obszerniejszy essay „Profil poetycki Jirzi Ortena". Orten jest autorem zbiorków: „Czitanka jaro", „Cesta k mrazu" i „Ohnice". Przed śmiercią przygotował do druku niewydane jeszcze książki „Zcesti" i „Elegie'. Zebrane utwory Ortena ukażą się nakładem wydawnictwa Vaclava Petra w Pradze. (W „Kamenie" zamieszczamy przekład jednego z wierszy ze zbioru „Zcesti").

W Pardubicach ukazało się nowe czasopismo literackie młodych „Prostor". Obok utworów oryginalnych w pierwszych dwóch numerach spotykamy przekłady z francuskiego i rosyjskiego (Valery, Sidorenko, Lermontow, Achmatowa, Bunin).

* * *

Interesującą inicjatywę podjął praski klub literacki młodych „Duchowna dilna" (D.D.). W jednodniówce „Kvas" zamieszcza 9 punktów swego programu. D. D. wypowiada walkę monopolizmowi autorskiemu i metodom niektórych wydawców utrudniających pracę młodym i zwracających utwory bez zaznajomienia się z ich treścią. Zadaniem krytyki, według D. D. powinno być przychodzenie z pomocą początkującym pisarzom. „Krytykować to znaczy znać". Klub pragnie skupić wszystkich młodych. We własnym organie, którego ukazanie się zapowiada D. D., nie będzie zwyczaju „rękopisów się nie zwraca": wszystkie będą czytane, ocenione i znajdą odpowiedź. Program D. D. opiera się na ideologii ludowej i socjalistycznej. Projektuje się powstanie specjalnego Seminarium Literackiego, w którym świetniejsi pisarze starszej generacji dawaliby rady i wskazówki początkującym literatom.

* * *

Nakładem wydawnictwa Antonina Kowandy w Pradze ukazała się książka Heidenreicha „Wpływ Mickiewicza na czeską literaturę przedmarcową", Machala „O symboliźmie w literaturze polskiej i czeskiej" i M. Szyjkowskiego „Udział Polski w czeskim odrodzeniu narodowym".

* * *

O żywym ruchu wydawniczym w Czechach, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze „Kameny", niech zaświadczą następujące pozycje: „Melantrich" zapowiada z okazji stuleci urodzin J. V. Sladka, jednego z największych klasyków poezji czeskiej, pięciotomową edycję jego dzieł, prócz tego prygotowuje książki „Sladek dla dzieci" i bibliofilskie wydanie „Pieśni żałobnych". Jarosław Podroużek w Pradze wyda przekłady poezji Valery'ego, Walta Whitmana i Marceliny Desbordes - Valmore. Ukazały się zbiorki: „Zapiski z nemoci" zmarłego w ubiegłym roku J. Hory (u Melantricha), „Przilba hliny" F. Seiferta, obejmująca wiersze

tego wybitnego poety z lat 1937—45 (wyd. „Praca"), „Chleb z oceli" Frantiszka Hrubina (nakł. Jos Lukasika w Morawskiej Ostrawie), poemat młodej autorki Ewy Klenovej „Harlekyn Zero" (nakł. Jos. R. Vilimka w Pradze) i wiele innych.

* * *

Zwracamy się do wszystkich słowiańskich pism literackich z propozycją nadsyłania „Kamenie" egzemplarzy wymiennych.

NOTY

WIELKIM WYDARZENIEM W ŻYCIU KULTURALNYM LUBLINA, wydarzeniem o zasięgu ogólnopolskim był jubileusz czterdziestolecia pracy naukowej i literackiej profesora Juliusza Kleinera.

W końcu stycznia upłynęło 40 lat od chwili, kiedy znakomity uczony a wówczas młody i świetnie zapowiadający się student polonistyki ogłosił w 1906 roku „Bibliotece Warszawskiej" rozprawę pod tytułem „Patriotyzm Słowackiego". Juliusz Kleiner urodził się 24. 4. 1886 roku, we Lwowie, studia uniwersyteckie odbył we Lwowie, w Niemczech i w Paryżu. W roku 1908 uzyskał doktorat filozofii, w roku 1912 docenturę historii literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim. W latach 1916—1920 był profesorem uniwersytetu warszawskiego, od 1920 roku do wybuchu wojny kierował katedrą literatury polskiej na uniw. Jana Kazimierza we Lwowie. Od października 1944 roku prof. Kleiner wykłada na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w Lublinie.

Bogaty dorobek naukowy Jubilata obejmuje ponad 600 pozycyj bibliograficznych, m. in.: „Zygmunt Krasiński, — Dzieje myśli" 1912 2 t., „Juliusz Słowacki. Dzieje twórczości" (1919 — 1927) 5 t., „Sztychy" 1925, „Studia z zakresu literatury i filozofii" 1925, „O Panu Tadeuszu — książce budującej" 1925, „Die Polnische Literatur" 1929 (w „Handbuch der Literaturwissenschaft" Walzla), „Mickiewicz. Tom pierwszy: Dzieje Gustawa" 1934, „W kręgu Mickiewicza i Goethego" 1938.

Staraniem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Towarzystwa Naukowego tej uczelni, Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, Towarzystwa Ludoznawczego oraz Lubelskiego Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich i Klubu Literackiego w Lublinie w niedzielę 3. 2. br. odbył się uroczysty obchód Jubileuszu. Wśród przemawiających i składających Jubilatowi życzenia znaleźli się przedstawiciele nauki i literatury, młodzieży, oraz społeczeństwa lubelskiego, z którym prof. Kleiner związał się trwale jako inicjator i przewodnik życia kulturalnego.

Doc. dr. Stefan Kawyn w dłuższym referacie scharakteryzował twórczość naukową autora monumentalnych monografii poświęconych trzem wieszczom, kreśląc wizerunek jego bogatej indywidualności.

Na zakończenie wzruszony jubilat wygłosił z właściwą sobie kulturą słowa przemówienie, w którym wspomniał o planach naukowych na najbliższą przyszłość, obejmujących ukończenie wielkiej monografii

o Mickiewiczu, rozszerzenie dawniejszego dzieła o Krasińskim oraz dokończenie przerwanej przed laty pracy o Krasickim.

Wydawnictwa lubelskie: „Gazeta lubelska" i „Zdrój" przyniosły artykuły St. Kawyna, F. Araszkiewicza i A. Wojtkowskiego o Juliuszu Kleinerze — uczonym, wychowawcy, człowieku.

Zewsząd manifestowano sympatię dla profesora Kleinera, nadesłano wiele depesz z różnych stron kraju.

„Zbliżać człowieka do człowieka, jedną warstwę społeczną do drugiej, pokolenia mijające do potomnych, naród do narodu — oto rola, którą pełnić winna literatura".

Może te słowa Juliusza Kleinera zasługują na to, aby przekazać je światu w chwili, gdy zastanawia się nad formami utrwalającymi panowanie pokoju i kultury? —jp—

SPOŚRÓD LICZNYCH PRZEKŁADÓW z poezji rosyjskiej zamieszczonych w dzisiejszych czasopismach literackich za doskonałe uznać musimy spolszczenia kilku liryków Tiutczewa dokonane przez T. Stępniewskiego („Życie Literackie" Nr. 1—2). Rzecz tym dziwniejsza, że z nazwiskiem Stępniewskiego jako tłumacza spotykamy się po raz pierwszy. W tym samym numerze „Życia Literackiego" czytamy szkic Bratnego „Epoka?" o młodych poetach nocy okupacyjnej: Topornickim (Gajcym), Borowskim, Bratnym, Bugaju (Baczyńskim), Chmurze i in. Do artykułu K. W. Zawodzińskiego „Dwa jubileusze" wkradł się w zakończeniu przykry, a właściwie radosny dla nas błąd: przecież Juliusz Gomulicki, syn Wiktora, żyje.Otrzymaliśmy nawet podpisane przez niego pismo z M-wa Kultury i Sztuki, przydzielające „Kamenie" papier.

ZNANY POETA LEWICOWY Stanisław Wygodzki po ciężkich przeżyciach rodzinnych i osobistych (tragiczna śmierć żony, córeczki, rodziców i braci — pobyt w kacecie oranienburskim i w Dachau) cudem ocalał, ale zapadł na gruźlicę i leczy się od 8 miesięcy w szpitalu pod Monachium. Związek Zawodowy Literatów powinien koniecznie przyjść mu z pomocą i ułatwić powrót do Polski.

„CO MYŚLISZ (starcze, o ludach zachodnich?") O ZAMIESZCZONEJ W Nr. 5 „KUŹNICY" korespondencji z Warszawy, której tematem są refleksje w związku z wystawieniem „Lilli Wenedy" w Teatrze Polskim Szyfmana? Myślę przede wszystkim, że autorem jej nie jest chyba mimo zbieżności liter w kryptonimie pisarz, który zamieścił w „Odrodzeniu" interesujący szkic „Filozofia Leśmiana". Tam, choć nie ze wszystkim można się było zgodzić, czuć było lwi pazur. Tutaj powierzchowna ocena dramatu wytykająca wielkiemu poecie reakcyjny katastrofizm (a pominięte np. tak znamienne wypowiedzi chóru, aktualny przecież sąd Ślaza o Lechitach — szlachcie i truizm Rozy, który w latach okupacji nabrał dla nas tak tragicznych rumieńców („Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy") i kapitalna jeremiada w konkluzji: „Kraj ma dosyć eksperymentów reakcyjnych"... „Teatr powinien podjąć realne zadania, realne problemy". Biedny Szyfman! Czemuż zamiast arcydzieła Słowackiego nie wystawił na otwarcie reprezentacyjnego teatru w stolicy „Starego dworku" lub „Wiosny 1944" (nie uwłaczając zresztą wartości tych sztuk),

bo przecież „pojawiło się kilka sztuk współczesnych na aktualnej problematyce osnutych". Tymczasem publiczność widocznie jest innego zdania: „Lilla Weneda" zdobyła powodzenie nadzwyczajne. Osiągnęła już z górą pół setki przedstawień przy kompletnie wypełnionej sali i kto wie, może dociągnie do drugiej pięćdziesiątki. To sukces wielkiej poezji i chlubne świadectwo gustów literackch Warszawy.

W OSTATNICH MIESIĄCACH spotykaliśmy się nieraz w różnych czasopismach z nazwiskiem Marii Szczepańskiej. Autorka drukowała już przed wojną, że przypomnimy jej tatrzańskie tematy w „Kamenie". Ale w latach wojennych talent Szczepańskiej zmężniał i okrzepł. Wyzbyła się denerwujących czasem dawniej ekstrawagancyj stylistycznych na rzecz wzruszającej prostoty. Ale na wyżyny prawdziwego artyzmu wzniosła się Szczepańska w noweli „Księżyce" („Twórczość" zeszyt 5). Na kilkunastu stronicach skondensowała tyle prawdy o człowieku, tyle napięcia dramatycznego — i wszystko to przeżyte niemal osobiście. Toteż z niecierpliwością oczekujemy ukazania się w druku nagrodzonej na konkursie „Kukułki".

POJEDYNEK JASZCZ - KISIEL („Dziennik Polski" — „Tygodnik Powszechny") staje się coraz bardziej pasjonujący. Szermierze równej siły. Zdaje się, że partia zostanie rozegrana al pari.

W JĘZYKU NASZYCH PISM LITERACKICH w dalszym ciągu pokutują wytknięte już w poprzednim numerze „Kameny" — „tym niemniej" (tygodnik łódzki nr. 5) i „człowiek względnie grupy ludzi", a nawet „poszukiwanie z a znajomymi" (tygodnik krakowski Nr. 5). „Nie przeżycia są ważne, a światopogląd" (inny tygodnik łódzki Nr. 5). Przykładów podobnych nastręcza zresztą każdy numer.

ADRESAT NIEZNANY. Z tym dopiskiem otrzymaliśmy z Łodzi zwrot listu poleconego, który wysłaliśmy Władysławowi Broniewskiemu na podany nam adres (Al. Kościuszki 21). Łódź robotnicza tak owacyjnie witała powrót proletariackiego poety, a dla poczty łódzkiej to ktoś „nieznany". —kaj—

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. St. Goł. w Bieżuniu. Dziękujemy serdecznie za miłe wyrazy. Prosilibyśmy o inny wybór przekładów z francuskiego lub angielskiego. Prenumeratę załatwia „Czytelnik" w Lublinie.

P. T. Bart. w Katowicach. Dziękujemy bardzo za serdeczny list. Przykro nam, że z nadesłanych wierszy nie możemy skorzystać. Są w nich przebłyski talentu, ale jeszcze nie dla nas. Może Pan w przyszłości przyśle inny wybór.

P. Paw. R. w Sierpcu. Z uprzejmie nadesłanych wierszy nie skorzystamy.

P. T. Rok. Chr. w Łodzi. List Pański wraz z wierszami zawieruszył się w papierach, za co przepraszamy. Nie pamiętamy adresu.

Biblioteka Uniwersytecka w Lublinie

ERRATA DO Nr 2—3 „KAMENY"

Na str. 43 wiersz 2 od góry zamiast „fałszywego" pow. być „fałszywszego"
„ „ 43 „ 14 od dołu zamiast „awangardziej" pow. być „awangardzie"
„ „ 46 „ 22 od góry zamiast „jego" pow. być „swej"
„ „ 54 „ 2 od góry zamiast „południe" pow. być „południu"
„ „ 54 opuszczony wiersz 12 brzmi „jak w hrubieszowski czarnoziem. Po to, bym dzisiaj [znowu wolny"
„ „ 54 wiersz 5 od dołu zamiast „Ukrocia" pow. być „Uhrocia"
„ „ 54 „ 4 od dołu zamiast „zdobytą na ich użycie" pow. być „zużytą na ich zdobycie"
„ „ 55 „ 6 od dołu zamiast „możnaby" pow. być „można by"
„ „ 55 „ 4 od dołu zamiast „pokonywując" pow. być „pokonywając"
„ „ 56 „ 8 od góry zamiast „wrosło się w tę skały" pow. być „wrosło w te skały"
„ „ 56 „ 10 od góry zamiast „mogą nie być" pow. być „mogą mi być"
„ „ 56 „ 17 od dołu zamiast „Świętówkę" pow. być „Świstówkę"
„ „ 56 „ 2 od dołu zamiast „nieprzeknioną" pow. być „nieprzeniknioną"
„ „ 57 „ 20 od góry zamiast „niedotkniętym" pow. być „niedomkniętym"
„ „ 59 „ 11 od dołu zamiast „karta" pow. być „krata"
„ „ 65 „ 2 od dołu zamiast „trzech" pow. być „dwóch"
„ „ 65 „ 4 od dołu zamiast „przedkładach" pow. być „przekładach"
„ „ 66 „ 15 od dołu zamiast „rybyim" pow. być „rybim"
„ „ 67 „ 8 od góry zamiast „literaturą" pow. być „literaturą"
„ „ 67 „ 24 od góry zamiast „stronnicy" pow. być „stronicy"
„ „ 68 „ 10 od góry zamiast „na drugim miejscu bezpośrednio" pow. być „na drugim [miejscu, zamiast bezpośrednio"
„ „ 69 „ 23 i 24 od góry zam. „Lysohorski" pow. być „Łysohorski"
„ „ 70 „ 6 od dołu zamiast „stronnicami" pow. być „stronicami"
„ „ 71 „ 3 od góry zamiast „mahistów" pow. być „makistów"
„ „ 71 „ 6 od góry zamiast „A. Broniewski powrócił" pow. być „A Broniewski powrócił"
„ „ 71 „ 14 od góry zamiast „Wołoszyńskiego" pow. być „Wołoszynowskiego"
„ „ 71 „ 10 od dołu zamiast „poświęcony" pow. być „poświęconego"
„ „ 72 „ 15 od góry zamiast „pismo" pow. być „pisma"
„ „ 72 „ 37 od góry zamiast „przekonywujące" pow. być „przekonywające"
„ „ 2 okładki w „Treści" zam. „O rzeczach nie dostrzegalnych" pow. być „niedostrze- [ganych"
„ „ 3 okładki zamiast „Macułżyński" pow. być „Małcużyński"
„ „ 3 okładki zamiast „w płomienia" pow. być „U płomienia"
„ „ 3 okładki zamiast „Bieńkowswki" pow. być „Bieńkowski".

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie
1946 2552. 4-5
CZASOPISMA

Drukarnia Nr. 1
SPÓŁDZ. WYDAW.
„CZYTELNIK"
Lublin,
ul. Zamojska 24.
Karta zam. A-8654